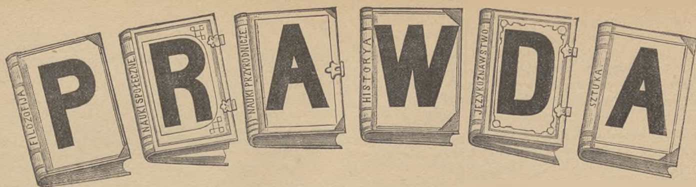
Nr. 32. Warszawa, dnia 8 Sierpnia (27 Lipca) 1891 r. **Rok XI.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ARTYKUŁ CRISPIEGO.

Otrąbiony telegrafem całemu światu artykuł Crispiego, ukazał się w *Contemporary Review* z podpisem. Były minister włoski wyznaje naprzód, że on jest również autorem artykułu, wydrukowanego dawniej bezimiennie w temże piśmie. O co mu tym razem chodzi? O zdemaskowanie Francyi i Watykanu, a zarazem usprawiedliwienie swojego postępowania względem obu. Zapewnia, iż posiada dowody, przekonywające, że w Watykanie kują się „piekielne intrygi" w celu rozdarcia Włoch, popierane przez Francyę, chociaż zaznacza, że papież trzyma się od nich zdala i że jest to głównie robota jezuitów. Przy końcu maja 1887 r. — opowiada Crispi — pewien słynny *abbé* ofiarował swoje pośrednictwo między Leonem XIII a rządem włoskim. Jezuici wszakże wmieszali się w tę sprawę i przecięli ją. Pewien dostojnik kościelny w Paryżu, zawiadomiony o układach, napisał do papieża, że „rząd Rzeczpospolitej francuskiej niechętnie patrzyłby na zgodę urzędowych Włoch ze Stolicą apostolską, dopóki istnieje potrójne przymierze." Dodał przytem, że nieroztropnością byłoby obrażać Francyę, która przy pierwszej sposobności może podnieść kwestyę rzymską i skłonić mocarstwa do „rozstrzygnięcia jej w duchu życzeń papieża." Dnia 14 sierpnia tenże prałat pisał do kardynała Rampolli, że wiadomość o porozumieniu się rządu włoskiego z Leonem XIII sprawiła w Paryżu „przykre wrażenie" i dlatego radzi zerwać układy. Crispi przytacza następujący ustęp z listu, pisanego jakoby za dyktandem ministra francuskiego: „Zjednoczenie Włoch jest anachronizmem. Plemiona ich są wrogo względem siebie usposobione, niezadowolenie panuje w rozmaitych częściach półwyspu i co najwyżej możliwa jest federacya. Francya może się połączyć ze Stolicą apostolską dla usunięcia tego burzącego żywiołu, dozwalając plemionom ukształtować się w samorządne państewka odpowiednio do ich dążeń, interesów i położenia geograficznego. Papież mógłby otrzymać jedno z tych państewek we Włoszech środkowych i to w daleko lepszej postaci, niż poprzednio. Francya gotowa jest wystąpić na pierwszy znak, pod warunkiem, że Stolica apostolska z nami się połączy, z Włochami zerwie i opuści Rzym." Crispi przypuszcza, że autor listu spotwarzył rząd francuski, posądzając go o takie zamiary, dodaje jednak, że idee te nie są we Francyi nowe. Miały one wielu wyznawców, a między innymi Thiersa.

W r. 1870 podniesiono myśl wyjazdu papieża z Rzymu, Francya natychmiast ofiarowała mu u siebie gościnność. Po odsłonięciu pomnika dla Giordana Brunona Watykan rozesłał okólnik do mocarstw katolickich, uwiadamiający, że pobyt papieża w Rzymie jest niemożliwy. Żaden rząd nie przyjął poważnie tej skargi, z wyjątkiem francuskiego, którego rad jednakże Leon XIII usłuchać nie chciał. Według Crispiego, w Watykanie dotąd odbywają się narady w sprawie wyjazdu papieża do Francyi.

Co do potrójnego przymierza, przypomina on, że go nie stworzył, lecz znalazł gotowem, a umowy obowiązują tak samo narody, jak pojedynczych ludzi. Zresztą przymierze to ma cele czysto pokojowe i jest jedynem zabezpieczeniem od wojny, która, według niego, wybuchłaby natychmiast. Włochy nie myślą nikogo zaczepiać. „Wymagają one — powiada Crispi — rękojmi, że pewnego dnia Francya nie zrobi wyprawy na Rzym lub nie podniesie — jak to wielokrotnie przyrzekała — kwestyi rzymskiej wobec mocarstw, którą ciągle uważa za otwartą. Uznając się za najstarszą córkę Kościoła — inne narody stoją w drugim szeregu — mniema, że posiada przywilej czuwania nad pontyfikatem rzymskim. W dniu, w którym ta przyczyna podejrzeń i nieufności zniknie, a Włochy uwolnione zostaną od niebezpieczeństwa obrazy dla swoich praw, mogą zająć się pytaniem, czy powinny wystąpić z sojuszu, który je osłania przeciw cudzym rozkazom. Tymczasem powinny wzmacniać się i nikt nie ma prawa kwestyonować ich postępowania. Groźba odebrania Rzymu włochom i oddania go papieżowi jest równie ciężką zniewagą, jak obsadzenie miasta obcą armią."

Zdaniem Crispiego na papieżu ciąży obowiązek przyjęcia faktów spełnionych i pogodzenia się z monarchią. Rząd włoski zapewnił mu dostatecznie spełnianie posłannictwa duchowego, religia katolicka używa praw daleko większych, niż inne kulty, a nieraz dowiedziono, że papież w kraju, gdzie panuje najszersza swoboda myśli, może przekroczyć granice ustaw. Papież przeto powinien się pojednać z Włochami. Niech wyjdzie ze swego odosobnienia, na które sam się skazał, niech zacznie błogosławić, a przestanie wyklinać, wtedy będzie większym, bardziej czczonym i godniejszym nietykalności, którą mu parlament narodowy zapewnia.

Tak radzi Crispi.

Że ta jego rada, której ani rozumu, ani słuszności odmówić niepodobna, odbije się w Watykanie o głuche uszy, ani na chwilę nie wątpimy. Co do wyznań, objaśnień i oskarżeń, wywołują one ze strony zaczepionej szereg strzałów odpornych, które pomogą nam rozeznać rzeczywistą prawdę. W każdym razie zdaje się, że chociaż Crispi zaręcza, iż na poparcie swych twierdzeń posiada dowody, przesadza udział rządu

francuskiego w intrygach Watykanu już z tej prostej przyczyny, że ów rząd wielokrotnie się zmieniał, więc takiej ciągłości w swych knowaniach utrzymać by nie mógł. To też gazety paryskie odpowiedziały b. ministrowi włoskiemu, że trzeba być prostodusznym, ażeby coś podobnego napisać, i naiwnym, ażeby uwierzyć. Według tych dzienników kwestya rzymska dla Francyi oddawna nie istnieje, więc nie może być przyczyną zatargu z Włochami. A co do wyprawy na nie — to już trąci bajką, z którą poważnie rozprawiać się nie warto.

Z AUSTRYI.

Pokłosie parlamentarne. — Nowy kodeks karny hr. Schönborna.

Pierwsza sesya parlamentarna, w której objawił się zmieniony kierunek rządów hr. Taaffego, nacechowana była niejasnością, wynikającą z nowości położenia. Główne grupy Izby zajmowały stanowisko wyczekujące i zbytkiem ostrożności wywoływały liczne nieporozumienia. Wszystkie spoglądały bacznem okiem na Koło polskie, stojące w samym środku nowego układu stosunków. Niemcy spodziewali się, że Koło zmieni dotychczasowy kierunek polityki na ich wyłącznie korzyść; czesi liczyli na to, że zasada polityki wolnej ręki, głoszona przezeń, jest ukrytem wyznaniem dawnej miłości. Koło zaś, unikając do ostatniej chwili jasnego określenia stanowiska swego, pojednało się z dawnymi wrogami, nie zrywając ze starymi przyjaciółmi. Przyjdzie niezawodnie chwila, w której przekonu, że nie zdoła spełnić nadziei, obudzonych równocześnie na prawicy i na lewicy.

Ostatnim ważnym przedmiotem obrad Izby było przedstawienie ministra sprawiedliwości, hr. Schönborna.

Nowy projekt ustawy karnej, który przebył obecnie pierwsze stadyum obrad parlamentarnych, jest piątym z rzędu przedstawionym izbie w ciągu lat dwudziestu pięciu. Okoliczność, że hr. Schönborn nie dał się odstraszyć niepowodzeniem poprzedników, Glazera i Prażaka, świadczy o szczerej chęci przeprowadzenia reformy, tyle pożądanej dla obywateli państwa austryackiego. Ustawa dziś obowiązująca, wydana 27 maja 1852 r., sięga po większej części jeszcze wieku poprzedniego; przepisy, nieuwzględniające całego rozwoju prawa karnego w naszem stuleciu, złagodzone są jedynie prawem ułaskawienia, które w myśli ustawodawcy stosowane być miało w wypadkach wyjątkowych, obecnie zaś jest stosowane stale.

Projekt hr. Schönborna nie jest bynajmniej ideałem ustawy karnej, nie jest on nawet szczerze postępowym, lecz bądź co bądź ma cechy ustawy nowoczesnej: liczy się ze stosunkami nowo wytworzonymi, uwzględnia wszystkie główne objawy czasów naszych. Oceniając go, zważyć należy, że rząd, zmuszony do ustępstw dla wpływowych w państwie czynników, w przedstawieniu swem zamieszcza niejedno z tą wyraźną świadomością, że komisya i Izba je usuną; tym sposobem dochodzi w rezultacie do ustawy postępowej, za którą odpowiedzialność na nim nie ciąży.

Karę śmierci redukuje nowy projekt do wypadków zabójstwa popełnionego rozmyślnie i do niektórych zdrady stanu.

Obok kar, ograniczających wolność, nowy kodeks w liczniejszych, niż dotychczas wypadkach, stosuje pieniężne, które minister Schönborn podwyższył aż do 4,000 złr.: lecz zważyć należy, że kara ta, nader stosowna w wypadkach przestępstw popełnionych z chciwości, przedstawia się odmiennie, kiedy spotyka człowieka bogatego, a inaczej, kiedy ponosić ją ma niezamożny.

Nowy kodeks wciąga cały szereg przestępstw, dotychczas bezkarnie popełnianych. Urzędnicy, którzy nadużywając powierzoną sobie władzę, ukrócają czyjąś wolność osobistą, lub zdradzają tajemnicę poczty, telegrafu i telefonu, karani będą surowo. Bezpieczeństwa domu broni kodeks energicznie, naznaczając dotkliwe kary na bezprawne wtargnięcie do obcego mieszkania. Nader elastycznym jest § 151, grożący karą za udział w stowarzyszeniach, dążących do usunięcia instytucyi małżeństwa, rodziny i własności. Wydział zamierza ściślej określić ten przepis, dodając słowa: „w sposób gwałtowny.“

Nowe są też artykuły kodeksu co do przestępstw dotyczących honoru. Karane one będą surowiej, niż dotychczas. Obrazy, popełniane przez pisma drukowane, sądzone będą w przyszłości nie przez przysięgłych, lecz przez trybunały państwowe. Pojedynek karany będzie łagodniej, jeżeli odbył się wobec świadków i z zachowaniem reguł, surowiej — kiedy reguł tych nie obserwowano. Sekundanci i świadkowie są wolni od odpowiedzialności. Pojedynek amerykański zaś, dotychczas nieuwzględniany przez kodeks karny, karany będzie więzieniem dziesięcioletniem, a w razie śmierci — piętnastoletniem.

Pojęcie „niewierności“ wprowadza nowy kodeks po raz pierwszy do ustawodawstwa austryackiego. „Niewierność“ — to „zaniedbanie obowiązku czuwania nad obcemi, powierzonemi sprawami majątkowemi, opartego na układzie.“ Paragraf ten zwraca się przeciw opiekunom, kuratorom, sekwestrom, zawiadowcom mas upadłościowych, wykonawcom testamentów itp. Spodziewają się, że z czasem stosowany będzie do wszystkich wypadków rozmyślnego złamania układów, a w ten sposób stanie się podporą i skuteczną ochroną dla szeroko rozgałęzionego dziś systemu kredytowego.

Z dalszych innowacyj zasługują jeszcze na uwagę przepisy znane już w innych ustawodawstwach karnych: wyroki warunkowe i wypuszczenie na wolność z prawem odwołania, wreszcie uwzględnianie wieku przestępcy.

Projekt nowego kodeksu karnego opiera się na pracach uczonych, z których wyrósł niemiecki. Ustawa niemiecka stosowana jest od lat dwudziestu z względnym skutkiem; na tej okoliczności minister Schönborn opiera swoje nadzieje.

St.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Uroczystości kronsztadzkie, którym prasa zagraniczna a zwłaszcza niemiecka naprzód starała się odmówić wszelkiego znaczenia a następnie przynajmniej obniżyć ich ważność, zapanowały ostatecznie nad innymi wypadkami chwili. Obecnie są one przedmiotem rozmyślań i przypuszczeń, całemu zaś dziennikarstwu europejskiemu stawiają przed oczy niezaprzeczony fakt, że Francya zbliżyła się do Rosyi bardzo wyraźnie i przyjęta została bardzo gorąco. Pobrataniu się temu nadaje szczególną moc udział sfer najwyższych. *Prawit. Wiestnik* pisze: „Na obiedzie w pałacu Peterhofskim, d. 28-go lipca, Najjaśniejszy Pan wzniósł puhar i wyrzekł następujące pamiętne słowa: „Za zdrowie prezydenta rzeczypospoli-

---

7)

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

Przed ratuszem spostrzegam, że już po jedenastej: postanawiam więc natychmiast udać się do redakcyi. Przed drzwiami zatrzymuję się na chwilkę, aby przekonać się, czy też kartki rękopisu ułożone są w porządku. Gładzę je starannie, wsuwam napowrót do kieszeni i pukam. W chwili, kiedy przestępuję próg, serce bije mi młotem.

„Dygnitarza od nożyc,“ jak zwykle, zastaję na posterunku. Pytam nieśmiało o redaktora — niema odpowiedzi. Bez przerwy wycina wiadomości z pism prowincyonalnych.

Powtarzam pytanie — przybliżam się trochę...

— Redaktora jeszcze niema! — odzywa się wreszcie, nie odrywając oczu od gazet.

— Kiedy nadejdzie?

— Nie wiadomo!

— Do której redakcya otwarta?

Na to nie otrzymuję już odpowiedzi, co znaczy, że trzeba zabrać się i pójść. Przez cały czas jegomość ten nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem: usłyszał mój głos i po głosie mnie poznał. Dobrze jesteś tu zapisany, skoro nawet odpowiedź za zbyt wielki dla ciebie uważają honor! — myślę sobie w duchu. A może to z polecenia redaktora? Istotnie, od czasu, kiedy przyjął ów sławny fejleton za 10 koron, zasypywałem go formalnie pracami, codziennie narzucałem mu rzeczy niemożliwe, które zmuszony był odczytywać po to tylko, aby mi je następnie zwrócić... Może w ten sposób chciał natręctwu memu kres położyć... przedsięwziął środki ostrożności.. Udałem się w drogę do Homandsbyen...

Jan Pauli Pettersen był to syn chłopa, student, który mieszkał na piątem piętrze, na poddaszu. Był więc człowiekiem biednym... A jednak, jeżeli tylko ma koronę, da mi ją z pewnością... Tak tego jestem pewny, jak gdybym ją już miał w kieszeni. Tak silnie wierzę, iż ją otrzymam, że już podczas drogi nadzieja posiadania tej korony sprawia mi uciechę. Brama była zamknięta — musiałom zadzwonić.

— Chciałbym widzieć się ze studentem Pettersenem — mówię, próbując wejść. Znam jego pokój...

— Student Pettersen? — powtarza służąca. Czy to może ten, który mieszkał na poddaszu?.. Już się wyprowadził!

— Dokąd?

— Nie wiem. Listy kazał sobie jednakże odsyłać na Tolboldgade, do Hermansena.. Wymienia mi numer.

Pełen wiary i nadziei, idę wzdłuż całej Tolboldgade, ażeby dowiedzieć się o adres Jana Pauli. To ostatni punkt wyjścia, należy go tedy wyzyskać. Po drodze mijam jakiś nowy budynek, przed którym stoi dwóch stolarzy przy heblu. Schylam się, podnoszę parę białych wiórów, jeden kładę do ust, drugi na później chowam do kieszeni i idę dalej... Jęczę z głodu... W oknie piekarni spostrzegam cudownie wielki chlebek za dziesięć oerów, największy, jaki wogóle za tę cenę otrzymać było można...

— Przychodzę dowiedzieć się o adres studenta Pettersona?

— Bert Aukers Gade, nr. 10, poddasze. Czy pan może tam idzie? Możeby pan w takim razie zabrał kilka listów, które dla niego nadeszły?

Wracam do miasta tą samą drogą, którą dopiero co przyszedłem i znowu mijam stolarzy, którzy siedząc na ziemi, spożywają teraz smaczne jadło z kuchni parowej. Mijam piekarnię... chlebek dziesięciooerowy leży jeszcze na dawnem miejscu; wreszcie napół nieżywy ze zmęczenia przybywam na Bert Aukers Gade. Zastaję bramę otwartą, wchodzę tedy po wielu ciężkich piętrach na poddasze, wyjmuję listy z kie-

tej Carnota, za kwitnienie floty francuzkiej a w szczególności za eskadrę admirała Gervais.“ W rozwinięciu tych słów Monarszych całe dwanaście dni pobytu u nas floty francuskiej zamieniły się na szereg niebywałych, nauczających i pełnych głębokiego znaczenia owacyj. Jeżeli ktokolwiek i kiedykolwiek mógł się naocznie przekonać, jak w Rosyi rozrastają się słowa jej Monarszego Gospodarza, to niezawodnie nasi marynarze dzielnej floty francuskiej, którzy obecnie wyjechali.“ Gdyby prasa zagraniczna mogła jeszcze wątpić o wpływie pobytu eskardy francuskiej na stosunki dwu mocarstw, a raczej ogólno-europejskie, to powyższe słowa dziennika urzędowego powinnyby ją od tej niewiary uwolnić.

Okręty francuskie odpłynęły z Kronsztadu, ale admirał Gervais z 40 oficerami pojechał do Moskwy, gdzie mu zgotowano równie uroczyste przyjęcie. W ten sposób za naszej pamięci nie witano tam i nie żegnano jeszcze gości zagranicznych. To też francuzi, chcąc bodaj w części odwdzięczyć się za te dowody przyjaźni i miłości, uczcili w Cherbourgu załogę stojącego tam statku „Admirał Korniłow.“

Dość zabawnie wobec tego widoku zachowuje się Anglia: Niedawno przyjmowała u siebie cesarza niemieckiego i pozwoliła narodzić się domysłowi, że ją coś wiąże z potrójnem przymierzem. Wszakże jako naród kupców, cениących przedewszystkiem pokój i unikających wszelkiej zwady, pragnęłaby teraz zaznaczyć swoją neutralność i okazać się uprzejmą względem Francyi. Więc rozmaitymi sposobami usiłuje zwabić powracającą eskardę francuską do siebie. Jednocześnie lord Salisbury na dorocznej uczcie u lorda majora Londynu położył w swej mowie niezwykle mocne akcenty na zapewnienia pokojowe. Rozumie się, kto tym zapewnieniom uwierzy, musi zarazem zmniejszyć znaczenie wszelkim wiążącym się stosunkom międzynarodowym, a nawet sojuszom politycznym. Na taką jednak łatwowierność zdobyć się trudno wobec milionowych armij, stojących ciągle pod bronią i mnożących się bez końca.

Król serbski, z odznaczeniem przyjęty w Petersburgu, po odwiedzeniu z powrotem cesarza austryackiego, ma udać się do Francyi, gdzie z powodów naturalnych będzie mile widziany. To więc, co się nie spełniło na drodze życzeń Milana, spełni się na drodze stosunków politycznych.

Rieger zapewnił, że Franciszek Józef ostatecznie pojedzie na wystawę do Pragi. Musiał stary polityk czeski mieć pewne zasady do takiego twierdzenia, ale kto wie, czy wypadki ostatnich dni mu nie zaprzeczą. Znowu bowiem w Pradze wybuchło gwałtowne starcie między niemcami a czechami, w którem użyto noży i przelano nieco krwi. Nadto policya zakazała owacyj, czynionych na dworcach kolei gościom słowiańskim, przybywającym do Pragi dla zwiedzenia wystawy, gdyż objawy te wydały się zbyt niebezpieczne. Zresztą młodocżsi coraz groźniej podnoszą sztandar federacyi ludów słowiańskich, którego ostrze jest naturalnie zwrócone przeciwko Austryi.

Cesarz niemiecki podobno już wyzdrowiał ze złamania nogi i wkrótce ma powrócić z podróży, gdzie go czeka coraz bardziej wzmagająca się agitacya przeciwko ciłom zbożowym.

Podobno wojska tureckie odniosły „świetne zwycięstwo“ nad rokoszanami w Jemenie. Wiadomość ta, jeśli prawdziwa, osłada cierpienia sułtanowi, który jest chory.

Szwajcarya obchodziła wielką uroczystość: 600 rocznicę połączenia się trzech jej kantonów, które dało początek obecnemu jej związkowi.

W Portugalii ponowiły się rozruchy, które doprowadziły do krwawego starcia między policyą a ludnością, pragnącą wyswobodzić uwięzionych oficerów.

SPRAWY EKONOMICZNE.

WIELKIE MAGAZYNY.

Równocześnie z koncentracyą przemysłu spostrzegamy podobne zjawisko w zakresie handlu. Olbrzymie magazyny wyrastają jak grzyby po deszczu, rujnując drobnych współzawodników i zmniejszając liczbę kapitalistów handlowych nietylko procentowo, lecz i bezwzględnie. Paryż przedstawia w tej mierze fakty pouczające. „W każdej dzielnicy codziennie widzimy zawieszanie interesów kupieckich... Nie wszyscy umierają, lecz wszyscy są ranieni śmiertelnie. Rzeźnik, piekarz, kramikarz wytrzymują jeszcze walkę, lecz kupiec galanteryjny, tapicer, kapelusznik, krawiec, modniarka — poddają się. Głucho teraz, cicho i ponuro na wielu ulicach, na których niegdyś panował dniem gwar jak w ulu, nocą zaś tryskały snopy światła i drgało życie. Z podziwem zapytujemy, jaka przyczyna sprawiła tę zmianę i wywołała to chorobliwe wycieńczenie całej dzielnicy, pozbawiwszy ją życia. Dochodzimy do rogu; ledwie możemy się przecisnąć, tak tłoczą się tutaj ludzie, konie i wozy przed wielkim gmachem, olbrzymim jak koszary, wyrzucającym z siebie najrozmaitsze towary: odzież, kapelusze, rękawiczki, zabawki, szkło, porcelanę, meble. Jest to ognisko, od którego stopniały drobne sklepy dzielnicy. Olbrzymi ten skład towarów równa się 1,200—1,500 zwykłych magazynów. Każda z jego sal i oddziałów pochłonęła jakąś gałąź małego handlu i jest ssawką olbrzymiego polipa, który wszędzie wżera się, wszystko wycieńcza i wysysa. Nic dziwnego, iż dokoła tego potworu zawisły śmierć i milczenie.“ Obraz ten, wyjęty nie z jakiejś powieści w rodzaju *Au bonheur des dames* Zoli, lecz z poważnego artykułu w *Rocznikach ekonomicznych*, uzupełniony kilku szczegółami statystycznymi z handlu w zakresie krawiectwa, modniarstwa itd. W porównaniu z r. 1860 liczba „patentów“ (tj. samodzielnych przedsiębiorstw) w tej gałęzi spadła z 28,000 na 22,500, tymczasem cyfra osób zatrudnionych wzrosła niemal cztery razy: z 78 tysięcy do 290. Wielkie firmy handlowe zwyciężają z wielu powodów. Naprzód przyciągają one publiczność stałością a jednocześnie względną nizkością cen swoich. Różnica pomiędzy stałym a przypadkowym kundmanem jest tutaj wyrugowana, wielki magazyn nie obedrze nabywcy, lecz trzyma się zasady, iż lepiej ciągnąć nizkie, lecz stałe zyski, niż rachować na możliwość „złapania“ kogoś, zwłaszcza cudzoziemców i przybyszów z prowincyi. Nadto czyni on odrazu olbrzymie zakupy przedmiotów z pierwszej ręki i daje zatrudnienie ciągłe i niezawodzące całym fabrykom, niekiedy zaś sam jest wytwórcą; np. „Bon marché“ posiada własne warsztaty bielizny, ubiorów i mód, w których pracuje 400 osób. Przytem wszystkie wielkie składy trzymają komiwojażerów w najrozmaitszych zakątkach międzynarodowego obszaru wymiennego. Zcśrodkowanie techniczne procederu pośredniczącego przyczynia się też do olbrzymiego zmniejszenia kosztów przedsiębiorstwa. Foville (w *Economiste français*) porównał koszty utrzymania magazynu, mającego roczne obroty 36½ mil. franków, z innym,

---

szeni, aby na samym wstępie wprawić Jana Pauli w dobry humor.

Przedstawię mu moje położenie, a z pewnością nie odmówi mi tej grzeczności, z pewnością nie odmówi!

Na drzwiach widzę kartę: „J. P. Pettersen, stud. teol. — wyjechał do domu.“

Siadam, siadam na zimnej podłodze, przybity, zmęczony, złamany. Kilkakrotnie, mechanicznie powtarzam: wyjechał, wyjechał do domu... Potem nagle milknę— nie mam ani łzy, ani myśli, ani uczucia. Z szeroko otwartemi oczami siedzę i patrzę nieruchomie na owe listy: nie szukam nawet sposobu wyjścia z tego wszystkiego. Mija dziesięć minut, dwadzieścia, może więcej: siedzę ciągle jeszcze na tem samem miejscu, w stanie tej samej apatyi. Ponura ta zaduma działa na mnie prawie jakby sen. Słyszę czyjeś kroki na schodach: wstaję więc i pytam:

— Gdzie jest student Pettersen — oto są dwa listy dla niego!

— Wyjechał do domu — odpowiada mi jakaś kobieta. Lecz po wakacyach wraca... Jeżeli pan życzy sobie, mogę listy u siebie zatrzymać.

— Owszem proszę, bardzo proszę. Będzie je mógł odebrać natychmiast po powrocie. Może zawierają jakieś ważne wieści. Żegnam panią!

Nieprzerwanie gryzę ów wiór drzewa i chwiejnym, ale prędkim krokiem spieszę w dół ulicy. Zanim spostrzegłem, byłem już na placu kolejowym. Na wieży kościoła Zbawiciela zegar wskazywał wpół do drugiej. Namyślam się przez chwilę. Twarz moja pokrywa się potem zmęczenia, który kroplami spływa mi na oczy. Chodź ze mną na wybrzeże! — mówię sam do siebie. To jest, jeżeli masz czas, naturalnie! Sam składam sobie ukłon i schodzę na wybrzeże.

W porcie stoją okręty, morze kołysze się w słońcu. Wszędzie wre ruch pracowity, tragarze uwijają się ze skrzyniami na plecach, słychać głośny świst pary, wesoły śpiew ładowników przy promach. Nieopodal mnie siedzi baba z ciastkami: duży, opalony nos pochyliła nizko nad swoim kramem. Mały stolik tak jest przepełniony słodyczami, że aż grzech; z niesmakiem też odwracam się od tego widoku. Zapach ciast rozchodzi się po całem wybrzeżu: fe, otworzyć okna! Zwracam się do jegomościa, siedzącego obok mnie i przedstawiam mu ujemne skutki, wynikłe z ciągłego przesiadywania tych bab z ciastami na wybrzeżu...

— He?

— Ale pan przecież przyzna, że...

Lecz biedak przeczuwa widać coś niedobrego, nie daje mi więc nawet dokończyć, wstaje i oddala się. I ja wstaję, idę za nim, postanawiając sobie przekonać go, że się myli...

— Nawet ze względu na stosunki sanitarne! — mówię, uderzając go ręką po ramieniu.

— Wybaczy pan, ale jestem tutaj obcym i stosunki zdrowotne są mi zupełnie nieznane! — odpowiada, patrząc na mnie wystraszonym wzrokiem.

A — jest obcym!.. to zmienia postać rzeczy. Możebym mu w takim razie czemkolwiek mógł służyć? Może oprowadzić go po mieście? Nie?.. Byłoby to dla mnie przyjemnością, a dla niego — koszt żaden.

Lecz oczywiście chce mnie się koniecznie pozbyć i ucieka na drugą stronę ulicy.

Wracam do mojej ławki i siadam. Jestem zirytowany, a katarynka, grająca gdzieś dalej, na górze, wzburzenie moje jeszcze wzmaga. Słyszę muzykę twardą, metaliczną: to jakaś arya Webera, do której mała dziewczynka smutną nuci piosenkę. Tony, przypominające dźwięki fletu, składają się na tęskną nutę, w której płacze cierpienie, a która mnie przejmuje do głębi: krew prędzej zaczyna krążyć w żyłach, nerwy drgają, niby pod dotknięciem owych dźwięków; po chwili opuszczam się całym ciężarem mego ciała na ławkę i śpiewam, nucę za katarynką. Czego się człowiek nie chwyci, kiedy jest głodny! Czuję, że zle-

małym, w którym obrót roczny wynosi jedynie 36½ tysięcy. Okazało się, iż w pierwszym równają się one jedynie 13,7%, w drugim zaś aż 41,1% sumy obrotowej. W rzeczywistości stosunki kształtowały się jeszcze niekorzystniej dla drobnego pośrednictwa, gdyż większość przedsiębiorstw tego rodzaju w Paryżu nie wynosi więcej, niż 6—10 tysięcy fr. obrotu. Wreszcie dodajmy, że im drobniejszy handel, tem towar musi przejść przez większą liczbę rąk pośredniczących, zanim dostanie się do spożywcy, a każdy taki trybik maszyny wymiennej domaga się zarobku i pobiera go, podwyższając cenę. Są przykłady w Anglii, że dzięki temu niektóre przedmioty w drobnym handlu uległy podrożeniu o 700 do 1,000%! Poszukiwania, czynione przez zarząd towarzystwa orleańskiej drogi żelaznej, wykazały, że oficyaliści, którzy przecież kupują nie w drobnych kramikach, lecz w średniej wielkości sklepach, płacą o 30—127% drożej za przedmioty, niż kosztowały one kupca. Tymczasem w wielkich magazynach ta przewyżka ceny sprzedawczej w porównaniu z nabywczą nie przenosi 15—16%. Wielki zakład wprost wyrokuje o modach; jak nowoczesne mleczarnie trzymają chemików, podobnie każdy z tych olbrzymów posiada własny sztab artystów, wyszukujących nowe desenie dla tkanin, nowe formy kapeluszów itd. i trzyma na swoim żołdzie modnisiów złotej młodzieży oraz damy wielkiego świata i półświata — do torowania drogi wynalezionej modzie. Każdy towar mniejszego składu jest zgóry już wybrakowany, staroświecki. Wielkie magazyny nie znają też zleżenia materyałów; zręcznie urządzane wyprzedaże po zniżonej cenie zniosły tę plagę, trapiącą drobnych kupców. Nadto każdy przedmiot nabyty może być zwrócony; obstalunek nieco większy (za 25 fr.) jest bezpłatnie nadsyłany pocztą, niektóre magazyny mają w większych miastach za granicą własne biura do załatwiania formalności celnych i pocztowych. Wszystko to pcha publiczność w objęcia wielkich zakładów pośredniczących. Wreszcie towary sprzedaje się w nich jedynie za gotówkę, co znowu daje im wielkie korzyści. Drobne składy i handle stają się coraz bardziej przytułkiem kundmanów, kupujących na kredyt: bankruci podtrzymują bankrutów i razem staczają się w przepaść.

Powyższe przyczyny powodują wzrost wielkich magazynów i powolny upadek drobnego i średniego handlu, zwłaszcza zaś tego ostatniego, bo drobny trzyma się jeszcze dzięki istnieniu warstw najmniejszych i chłopskich, które z różnych powodów nie mogą korzystać z usług wielkiego handlu. W Europie temu zwrotowi dał początek Paryż, przedstawiający wszelkie warunki dla rozwoju pośrednictwa dzięki olbrzymiemu napływowi cudzoziemców. Jak szybko odbywa się ten rozwój, najlepiej świadczy następująca okoliczność. Gazety w r. 1844 z dumą notowały istnienie magazynów, zatrudniających po 150 osób. Tymczasem „Bon Marché" daje zajęcie 4,000 osobom i liczy rocznego obrotu 134 mil., „Louvre," „Printemps," „Belle Jardinière," „Samaritaine" przedstawiają równie olbrzymie cyfry. Wszystkie one posiadają własne filie na prowincyi, niektóre mają ich do 40. Za przykładem Paryża poszły miasta prowincyonalne, Lion np. posiada już dwa wielkie magazyny. Anglia nie ustępuje Francyi, gdyż mamy tutaj zakłady, jak np. Whiteley, zatrudniające po 5,000 osób; nawet na prowincyi są magazyny, w których liczba oficyalistów wynosi 300 osób. Jednak kraj ten przedstawia pewną właściwość, nieznaną Paryżowi. Kiedy ten ostatni w swoich olbrzymich magazynach zcśrodkował jedynie rzeczy galanteryjne i inne, lecz nie tknął artykułów żywności, w Anglii nawet i ta dziedzina nie została wyjęta z pod najazdu wielkiego kapitału. Dokonały go tutaj różne stowarzyszenia spożywcze urzędników i wojskowych, będące zresztą jedynie przedsiębiorstwami akcyjnemi, które mają u siebie na składzie nietylko ubranie, meble i sprzęty domowe, zegary, instrumenty muzyczne, obuwie, tkaniny itd., lecz nawet węgiel kamienny, napoje i artykuły żywności, tytoń, paszę dla koni, trumny, bilety do wagonu, teatrów i na koncerty. Pod tym względem do Anglii najbardziej zbliżają się Włochy i Niemcy ze swoimi związkami również urzędników wojskowych. Inne kraje Europy, nawet Dania i Belgia, nie pozostały w tyle. Pierwszeństwo jednak przypada Stanom Zjednoczonym Ameryki północnej — zarówno pod względem obfitości wielkich magazynów, jako też posiadanych przez nie rozmiarów. Największy znajduje się w Filadelfii, potem idą New-York i Chicago. Zwłaszcza jedna okoliczność zasługuje tutaj na uwagę, mianowicie, że amerykańskie wielkie magazyny opierają się nie na akcyjnym, lecz czysto osobistym kapitale. Z góry można było przewidzieć, że rozwój ten nie odbywa się bez przeszkód. Zagraża on interesom nader licznej a wpływowej i ruchliwej warstwy społecznej. Skargi przeciwko stowarzyszeniom spożywczym nie ustają w Anglii; wymagają tam „krzywdzeni" kupcy, aby zabroniono sprzedawać w nich towar osobom, nienależącym do stowarzyszenia. Podobne skargi słyszymy w Niemczech, zwłaszcza przeciwko olbrzymim związkom spożywczym oficerów i urzędników. Kiedy przeszłego roku zamierzano w Wiedniu powołać do życia wielki magazyn akcyjny na wzór paryskiego, drobni kupcy urządzili walne zgromadzenie, uchwalili na niem petycyę o niewydawanie odpowiedniej koncesyi i zwyciężyli, bo odmówiono pozwolenia. Zresztą wygrana jest chwilową, gdyż zamiast akcyjnego, zjawił się indywidualny kapitał, który zamierza podjąć odpowiednie przedsiębiorstwo. Lecz zwłaszcza ruch opozycyjny przybrał silne rozmiary w Paryżu, w tem istotnem ognisku wielkiego pośrednictwa. Widzieliśmy już powyżej następstwa istnienia magazynów w rodzaju „Louvru," „Printemps" i in. Obliczają, że sam „Bon Marché" doprowadził do bankructwa co najmniej 1,500—1,800 sklepów i walka o byt pomiędzy wielkim a małym handlem, którą Zola skreślił tak mistrzowsko w swoim *Magazynie nowości*, w najmniejszych szczegółach odpowiada rzeczywistym dziejom wspomnianego przedsiębiorstwa. Do walki z tymi potworami powstała między drobnymi handlarzami cała liga: „la ligue syndicale pour la défense des intérêts du travail, de l'industrie et du commerce." Liczyła ona w końcu przeszłego roku do 33 tysięcy uczestników i posiada własny organ, wychodzący dwa razy na miesiąc: *Revendication*. Jak widzimy, jest to siła potężna. Usiłowania jej zmierzają głównie ku przeprowadzeniu odpowiedniego opodatkowania, ustosunkowanego do rozmiarów personelu zatrudnianego oraz obrotów rocznych przedsiębiorstwa handlowego. Osiągnięto pewien rezultat. Prawo z 1889 podało nowe normy opodatkowania, dzięki którym ciężary, opłaty, spoczywające na 5 największych magazynach paryskich, podniosły się z 758,000 franków do 1,130,000. W następnym roku wypracowano nowe normy, oparte na wzięciu pod uwagę zatrudnionego w magazynie personelu. Atoli to wyjęcie z kieszeni wielkich magazynów jakiejś jednej setki tysięcy franków więcej na cele fiskalne, przy olbrzymim obrocie rocznym, stanowi względnie niewielką zawadę. Liga drobnego ku-

---

wam się z tymi tonami, rozpływam się w nich — zdaje mi się, jakobym się wznosił ponad góry, w sfery wyższe i jaśniejsze...

— Oera! — prosi dziewczę, nadstawiając małą, blaszaną tackę — jednego choćby oera!

— Dobrze! — odpowiadam; wskakuję na równe nogi i szukam w kieszeniach. Lecz dziecko myśli widać, że ja żartuję i oddala się w milczeniu. Niemej tej pokory obojętnie znieść nie mogę: wolałbym, żeby mnie zwymyślała. Ból ściska mi serce... przywołuję dziewczynkę napowrót.

— Nie mam szeląga przy duszy — powiadam jej — ale nie zapomnę o tobie... jutro może!.. Jak ci na imię?.. Tak?.. Ładne imię! Nie zapomnę! Więc do jutra!

Lecz rozumiałem, że mi nie wierzy, pomimo że nie odrzekła ani słowa. I rozpłakałem się z rozpaczy nad tem, że nawet ta mała ulicznica wiary mi nie daje. Przywołuję ją powtórnie — odpinam gwałtownie surdut: chcę jej oddać kamizelkę...

— Nie narażę cię na stratę — poczekaj chwileczkę!

— Kamizelki nie mam!

— Jakże mogłem jej jeszcze wogóle szukać! Nie mam jej już od wielu, wielu tygodni! Cóż mnie skusiło? Zdziwione dziewczę nie czeka dłużej i spiesznie się oddala. A ja muszę na to pozwolić! Ludzie zbiegają się ze wszystkich stron, śmiejąc się głośno. Przez tłumy przeciska się wreszcie i policyant:

— Co zaszło?

— Nic — odpowiadam — absolutnie nic. Chciałem dać tej oto dziewczynie kamizelkę... dla jej ojca... Niema się z czego śmiać! Mogłem przecież był natychmiast wrócić do domu i włożyć inną...

— Awantur nie robić na ulicy! — woła policyant. Ta-ak!.. a teraz marsz! I popycha mnie naprzód. Czy to pańskie papiery?

Tak, do stukroć, mój artykuł — masa ważnych rękopisów!.. Jakże mogłem był być tak nieostrożnym!

Biorę mój rękopis, sprawdzam, czy kartki leżą w porządku i, nie oglądając się, idę wprost do redakcyi. Na wieży bije czwarta.

Redakcya już zamknięta. Nieśmiało jak złodziej zsuwam się ze schodów i nie wiedząc, co czynić dalej, staję przed bramą. Co robić? Opieram się o mur, nieruchomie spoziera w kamienie i dumam. Toż pod mojemi nogami leży szpilka: schylam się i podnoszę ją. Cóż, gdybym tak obciął guziki u surduta? Wieleby też za nie otrzymał? Może nic — guziki są guzikami!.. Oglądam je, oglądam ze wszystkich stron; znajduję, że są jak nowe. Bądź co bądź myśl jest dobra: odetnę je scyzorykiem i zaniosę do „starego." Myśl, że sprzedam te pięć guzików, ożywia mnie w mgnieniu oka. Ot! — powiadam — horyzont się wyjaśnia! Radość mnie przejmuje, obcinam guziki jeden po drugim... Przytem milczę, prowadzę z sobą następującą rozmowę:

— Widzi pan, czasem człowiekowi skąpo trochę, chwilowo uczuwa brak, potrzebę... Zniszczone!.. Co też pan mówi! Chciałbym widzieć tego, kto mniej ode mnie niszczy guziki. Nigdy surduta nie zapinam, trzeba panu wiedzieć — ot, przyzwyczajenie, oryginalność taka!.. Nie nie, jeżeli pan nie chce... tak! Ale przynajmniej dziesięć oerów muszę za nie otrzymać!.. Ale któż na Boga twierdzi, że pan musi?!.. Może pan sobie milczeć, mnie zostawić w spokoju... Dobrze, dobrze, idź pan sobie po policyę... Dla mnie!.. Poczekam, aż pan przyprowadzisz policyanta! A ukraść, z pewnością nie panu nic ukradnę!.. A więc — adieu, adieu! Nazywam się tedy Tangen — trochę za długo bulałem!

W tem ktoś schodzi ze schodów. W mgnieniu oka budzę się z zadumy, poznaję „dygnitarza od nożyc" i spiesznie ręce chowam do kieszeni. Jegomość chce przejść, nie odpowiedziawszy nawet na mój ukłon: przyglądam się pilnie moim paznokciom. Zastępuję mu drogę i pytam o redaktora.

— Niema!

— Pan kłamiesz! — wołam. I z zuchwałością, która mnie samego w podziw wpra-

piectwa wymaga zatem środków energiczniejszych. Jak mało zadowoliło ją przeprowadzone opodatkowanie, widać to z następujących danych. Według prawa z r. 1890 „Bon Marché“ będzie opłacało rocznie 392,000 franków podatku!

Fakty powyższe wyjęliśmy ze świeżo wydanej książki prof. Wiktora Mataja *Wielkie magazyny i drobny handel* *). Autor dość zdrowo zapatruje się na dążność społeczną, która powołała do życia owe instytucye. Widzi on w nich konieczne zjawisko, które musi potężnieć z biegiem czasu, przynosząc olbrzymie korzyści spożywcom dzięki uproszczeniom, wprowadzonym do maszyny wymiennej. Sądzi wszakże, iż obok wielkich magazynów będą zawsze istniały drobne przedsiębierstwa. Naturalnie, jest to rzeczą możliwą przy dzisiejszych stosunkach społecznych, chociaż ów drobny handel jest tylko z pozoru gospodarowaniem samodzielnem. Jeśli np. zatrzymamy się nad Niemcami, niezależność szynkarzy i właścicieli drobnych knajp jest taką tylko powierzchownie. W gruncie rzeczy, skoro odrzucimy pozory prawne i zapytamy o treść ekonomiczną, ujrzymy, iż ów „samodzielny“ gospodarz jest wprost agentem wielkiego składu hurtowego, i cała różnica pomiędzy nim a istotnym oficyalistą polega na tem, że nie ma on żadnej stałej a zapewnionej pensyi, dochód jego wciąż zależy od ryzyka, wreszcie że musi najmować warsztat swej pracy za własne pieniądze, zamiast aby to czynił wielki przedsiębiorca. To samo widzimy w handlu detalicznym węgli, mydła, cukru, tkanin. Wszędzie drobny sklepikarz jest tylko nieskontraktowanym subjektem. Stosunek zachodzi ten sam, co w drobnym przemyśle domowym, w którym cała samodzielność rzemieślnika polega na tem, iż w własnej izbie wyrabia przedmioty dla jakiegoś kantoru. Drobnomieszczaństwo, które przedewszystkiem posiada tę zaletę, iż baczy na pozory i nie zwraca uwagi na treść, może sarkać przeciwko temu rozwojowi i powstrzymać go. Przedpotopowe to stanowisko nie wiele jednak przyniesie pożytku. Konieczność dziejowa, a są nią wielkie magazyny, zwycięży i poprowadzi w dalszym ciągu do nowych form społecznych. Usiłowania nasze winny być skierowane nie do bezmyślnego zawodzenia skarg przeciwko dążnościom rozwojowym, lecz do walki przeciwko ujemnym stronom ewolucyi ekonomicznej. Niech ktoś śpiewa pogrzebowe pieśni nad umarłymi i łudzi się systematycznem, świadomem a nieustającem fałszowaniem faktów, żywi pójdą za żywymi, aby powstającym formom ekonomicznym nadać postać pożądaną. „Można stawiać przeszkody — mówi słusznie jeden z krytyków książki Makaja — lecz niepodobna powstrzymać tego, co musi nastąć... Naturalnie jesteśmy dalecy od krzyków płacnej tłuszczy wielbicieli wielkich magazynów, iż przejście od dawnego trybu sprzedaży do nowego jest rzeczą łatwą i niebolesną. Atoli na rozwój dziejowy należy patrzeć jako na coś niezbędnego. Liczne ofiary, zdeptane w tym przebiegu, możemy z ludzkiem uczuciem opłakiwać, lecz nie wolno zapominać, iż to pochłanianie drobnego pośrednictwa jest krokiem do dobrego postępu społecznego.“ Zresztą oficyalistom i subjektom wielkich magazynów świta w tej przemianie nadzieja, że niebawem prawodawstwo fabryczno-przemysłowe zaopiekuje się nimi, umożliwione zaś dzięki zcśrodkowaniu związki zawodowe dadzą możność dalszej walki o byt.

K. R. Żywicki.

*) *Grossmagazine und Kleinhandel*, Lipsk.

BADANIA NAUKOWE.

M. R. Wilanowski. *Historya miast i mieszczan w krajach dawnego państwa polskiego*, z materyałów po W. A. Maciejowskim. Poznań.

Autor *Historyi prawodawstw słowiańskich* i *Historyi włościan* w ostatnich latach życia pracował nad zebraniem materyałów do historyi stanu mieszczańskiego w Polsce. Śmierć przerwała wątek pracy w chwili, gdy plon jej daleki był jeszcze od uporządkowania. Pracę tę, zmudną wielce według słów jego, podjął p. W. Dzieło, które staraniem jego ukazało się na widok publiczny, przedstawia dość surowy materyał dla przyszłego historyka. Dzięki źródłom wydobywa ono na jaw pewną ilość faktów, które domagają się jednak należytego ugrupowania i szerszego oświetlenia. Poszukuje ich autor od czasów najdawniejszych aż do połowy XIX w., dzieląc czas ten na cztery okresy. W pierwszym słabo oświetla stan miast przed wprowadzeniem prawa magdeburskiego. Miasto (starosławiańskie *m'sto*) oznaczało pierwotnie miejsce otwarte, zewsząd dostępne. Tu odbywały się targowiska, zaś miejsce ogrodzone, obwiedzione okopami lub murem, tworzyło gród, lub posadę. Pierwszy miał charakter twierdzy, w której naród przechowywał, co miał najdroższego, tu więc przebywali kapłani za czasów pogańskich, a za chrześciańskich urzędy i sądy, oraz zakładane były katedry biskupie, posada zaś bliższą była charakterem fortecy, przeznaczonej na obronę kraju. W zamkniętych osadach miejskich — grodach, rządził naczelnie setnik, w otwartych — władzę piastował komes; w okręgach grodowych i miejskich rządził po wsiach urzędnik, nazywany kmieciem, lub starostą; wszystkich mianował monarcha. Prócz rządu zwierzchniczego miała osada swój własny; mieszkańcy jej podzieleni według godności na starszych i młodszych, a według powołania na artystów, kupców i rękodzielników uchwalali dla siebie i okręgu swego ustawy, podlegające zatwierdzeniu najwyższej władzy kraju. Obok prawa zwyczajowego, którem pierwotnie miasta polskie się rządziły, cierpiane były w kraju prawa germańskie różnej nazwy i natury. Wybitniejsze z nich były: halskie, którem obdarzył Henryk Brodaty wieś swoją Środę, podnosząc ją do godności miasta, tu powstało prawo średzkie, krzyżacy zaś zaprowadzili na Mazowszu prawo chełmińskie, pierwotnie Chełmnu i Toruniowi nadane. Żadne atoli tak mocnych korzeni nie zapuściło, jak magdeburskie, powstałe z przywileju nadanego Magdeburgowi w r. 1188 przez arcybiskupa, a którego punktem najważniejszym było dopuszczenie obywateli świeckiego i duchownego stanu do obrad miejskich, co stanowiło największe dla miast dobrodziejstwo. Wobec względnie znacznej swobody, pozostawionej miastom polskim co do wyboru prawa miejskiego, magdeburskie rozpostarło się bardzo szybko. Monarchowie, biskupi, opaci, proboszczowie nie stawiali mu tamy żadnej, trudniej było z właścicielami roli, ci bowiem nie radzi byli zamieniać sądownictwo poddańcze na municypalne, skłoniły ich jednak do tego widoki dochodów z przemysłu mieszczan, gdy role zamienione zostaną na miasta. Wiejscy zaś czynszownicy chętnie przenosili się na czynsze do miast, znęceni korzyścią podlegania prawom miejskim. Zysk miast, odniesiony z prawa magdeburskiego, był widoczny; ono to bowiem wprowadziło kolegialne sprawowanie rządów i odbywanie sądów, wzmacniając rząd gminny miast i zniewoliło dostojników ziemskich do sza-

---

wia, kończę: Muszę z nim pomówić— rzecz nagląca! Wiadomość ze Stifftsgaarden!

— Czy mnie pan jej zakomunikować nie może?

— Panu?! Mierzę go od stóp do głowy.

To skutkowało. Natychmiast wraca ze mną i otwiera mi drzwi. Trwoga ściska mi gardło. Dla nabrania odwagi zacinam zęby ze wszystkich sił, pukam do drzwi i wstępuję do prywatnego gabinetu redaktora.

— Dzień dobry! To pan! — powiada uprzejmie. Proszę, niech pan spocznie!

Gdyby mi był drzwi wskazał, odniósł bym był wrażenie mniej bolesne: o mało co nie rozpłakałem się...

— Proszę mi wybaczyć!..

— Niech pan spocznie, proszę! — powtarza jeszcze raz.

Siadam więc i opowiadam mu, że znowu przygotowałem artykuł, który pragnąłbym bardzo w piśmie jego umieścić... Tyle mnie pracy kosztował, tyle trudu...

— Przeczytam go!.. Bierze rękopis. Nie wątpię, że w każdy artykuł wkładasz pan wiele pracy, lecz jesteś zbyt namiętny. Trochę więcej rozwagi. Za wiele w tem wszystkiem gorączki!.. Ale w każdym razie odczytam. I pochylił się znowu nad stołem.

A ja?.. Siedzę! Czy mogę go poprosić o koronę? Mogęż objaśnić mu, *dlaczego* ze słów moich taka zawsze bije gorączka?.. Pospieszyłby mi natenczas z pomocą... to już nie pierwszy raz...

Podnoszę się. Hm! Ale za ostatniej mojej bytności uskarżał się na brak pieniędzy, wysyłał woźnego na wszystkie strony, aby zebrać sumkę, która miała stanowić moje honoraryum. Dzisiaj mogło być nieinaczej! Nie, nie wystawię go na tę przykrość! Czyż nie widzę, że zajęty jest pracą?..

— Czem jeszcze mogę służyć? — pyta.

— Dziękuję — mówię, próbując nadać głosowi ton stanowczości. Kiedy mogę przyjść po odpowiedź?

— Ach, kiedykolwiek — może pan tędy przechodzić będzie... Za parę dni mniej więcej!..

Nie mogłem się zdobyć na wypowiedzenie mojej prośby. Zdawało mi się, że człowiek ten jest bezgranicznie dla mnie uprzejmy i chciałem mu dowieść, że tę uprzejmość cenić umiem. I odszedłem.

Opuściłem go, nie poprosiwszy o koronę, a nie żałowałem tego nawet wtedy, kiedy stanąwszy na ulicy, znowu poczułem męczarnie głodu. Wyciągam z kieszeni drugi wiór i kładę go do ust. To i teraz ulgę mi sprawia. Dlaczegóż wcześniej tego nie uczyniłem? Wstydź się! — mówię do siebie głośno. I tyś istotnie chciał prosić tego człowieka o koronę, dobrowolnie chciałeś go w kłopot wprawić? Za tę myśl bezczelną, której o mało co w czyn nie wprowadziłem, zacząłem wymyślać sobie prawie po grubiańsku. To, dalibóg, największy egoizm, jaki sobie wyobrazić można: nachodzić kogoś bezustannie i wyjąć mu nieledwie oczy, dlatego tylko, że potrzebuje się korony!.. Ty psie nędzny! Marsz, marsz! Prędzej, bałwanie jakiś! Ja cię nauczę!

Za karę zacząłem biedz: biegnę z ulicy na ulicę, zgryźliwem nawoływaniem przynaglam się do biegu, krzyczę bez dźwięku żadnego, krzyczę na siebie szalenie, ilekroć stanąć zamierzam. Przybywam wreszcie na Pilestraede. Dłużej pędzić nie mogę, więc wściekły z gniewu, drżąc na całem ciele, padam na jakieś schodki. Nie, proszę bardzo! — wołam w tejże chwili. I ażeby ukarać się, jak należy, znowu zrywam się, zmuszam do stania, śmieję się z samego siebie, napawając się własnem nieszczęściem. Wreszcie, po upływie kilku minut, skinieniem głowy pozwalam sobie siąść, ale nawet i wtedy wybieram miejsce najbardziej na schodach niewygodne.

O Boże, jak to dobrze wypocząć trochę! Ocieram pot z czoła i oddycham pełną piersią. Tom się dopiero nabiegał! Ale jakże też można było pożądać owej korony? Oto skutki!.. I łagodnie, niby matka dziecko, zacząłem się strofować. Stawałem się coraz sentymentalniejszy, aż wreszcie zmę-

nowania tego, co mieszczanie większością głosów wypowiedzą. W miastach na prawie magdeburskiem osadzonych komesa zastąpił wójt, który w zasadzie miał być miasta obrońcą, opiekunem (advocatus). W akcie nadającym mu prawo opieki (advocatio) wyszczególniono, iż ma sądzić i radzić wspólnie z ławnikami o dobru miasta, a nie dopiekać mu zdzierstwem itp. Przedewszystkiem więc był on wysokim urzędnikiem sądowym, sądził wyłącznie mieszczan, nie-mieszczanom zaś, przebywającym w mieście i jego okręgu wymierzał sprawiedliwość sędzia ziemski. Od wójtowskiego — apelacya szła do wyższego i najwyższego sądu królowskiego, a nawet, pomimo zakazu Kazimierza W. z r. 1869 można było wydany w Polsce wyrok posyłać dla zrewidowania do Magdeburga. Wójt spełniał obowiązki dość uciążliwe, lecz zarazem był dla miasta osobą, niezmiernie wiele kosztującą, upadek więc wójtów, który nastąpił w pierwszej połowie XIV w., był dla mieszczan zwrotem szczęśliwym. Samorząd miejski wzmocnił się znacznie, wójta zastąpiła ostatecznie rada miejska, magistrat złożony z Rajców i Ławników.

Okres drugi sięga roku 1365, kiedy Kazimierz W. z dwóch praw niemieckich, magdeburskiego i średzkiego utworzył jedno krakowsko-magdeburskie, powołujące mieszczan do boju, ustanawiające radę dwojaką, starą i młodą, czyli nie urzędującą, która się dzieliła na ławniczą i cechową. W okresie tym autor podaje obfitą wiązankę wiadomości, dotyczących handlu i przemysłu polskiego, wskazuje jakie były drogi handlowe, podaje początek i rozwój liczby, miary i wagi polskiej, wspomina o miastach i prawie składowem, zmuszającem obcych kupców przez kraje polskie przejeżdżających z towarem wstępować do miast i tamże przez czas niejaki zabawić, wylicza cła, monopole, dochody i rozchody miejskie, a wreszcie artykuły handlu wywozowego i przywozowego. O stosunkach politycznych mieszczaństwa w tym i poprzednim okresie słyszymy nie wiele po nad rzeczy wiadome, jak to, iż w prawach swych mieszczaństwo względnie upośledzone nie było. Wstępujący na tron monarcha uroczyście zaprzysięgał miastom swobody, udział w sejmach, nawet elekcyjnych, był im dozwolony, same jednak prawa tego zaniedbywały.

W trzecim okresie czasu następuje ściślе określenie praw politycznych stolic, miast, miasteczek, a nawet przedmieść. Pierwsze, zwłaszcza zaś Kraków, stały się uczestnikami praw szlacheckich. Głowę obywatela miasta oszacowano trzydziestu grzywnami, miasteczko piętnastoma, przedmieścia dziesięcioma. Śledzi autor za rozwojem pojedynczych miast Korony i Litwy. Z postępem czasu gmina miejska rozwija budżet swych dochodów i rozchodów, dzieli się nim z kasą państwową, przelewając do niej wszystko co po opędzeniu swych potrzeb, zaoszczędza, bada więc autor źródła budżetu tego, wykazuje dochody stałe i niestałe, wpływające do kasy miejskiej, oraz ciężary przymusowe i dobrowolne. Wewnętrzna organizacya miast rozwijała się dalej na drodze, wskazanej przez prawo magdeburskie. Kraków w r. 1571 zyskuje spis ludności, księgi stałej i niestałej. Bezpieczeństwo i porządek publiczny zostaje wzmocniony. Jurydyki, czyli dzielnice zamieszkałe przez ludność, do miejskiej się nie liczącą, zostają usunięte za obręb miasta. Ponownie czyni autor przegląd stosunków handlowych. Stan oświaty krajowej — powiada — sprawił, że polityka handlu nie sięgała daleko. Zmysł handlowy mało był rozwinięty, natomiast wielka rzetelność cechowała przepisy prawa o stosunkach handlowych wydawane. Powoli zaprowadzone zostają jednostajne miary i wagi; ożywił się handel wodny; ściśle zostają oznaczone i opisane trakty handlowe, a to dla regularnego poboru cła. Te ostatnie opłaca tylko kupiec i furman (dzisiejszy ekspedyent), nie płaci go zaś obywatel, kupczący towarem własnym i własną zdobyty pracą. Tak zwane składy, istniejące po miastach, nadal służą ku ich wzbogaceniu. Wogóle dobrobyt miast staje się znaczny i w nim zatopionemu mieszczaństwu obojętną zdało się rzeczą stać politycznie na równi z rycerstwem.

W następnym okresie wzięto pod szczególną opiekę miasta koronne, te mianowicie, w których przebywali królowie, odbywały się sejmy i publiczne obrady i miasteczka te uwalniano od kwater bezpłatnych dla urzędników cywilnych i wojskowych.

Po pierwszym podziale kraju uznano, że z widoków finansowych należy większą opiekę zapewnić miastom, uznać je za stołeczne i zapewnić im wolność propinowania. Z przywilejów tych skorzystało 22 miast W względzie politycznym podzielił Andrzej Zamoyski miasta na większe i wojewódzkie pryncypalne, pierwszym przyznając prawo wysyłania delegatów swych na sejmy ordynaryjne i ekstraordynaryjne, drugim — możność nabywania dóbr ziemskich. Z kolei przytacza autor wszystkie projekty zreorganizowania miast w ubiegłym i bieżącym wieku, poczynając od podanego przez kanclerza Zamojskiego, który na sejmie r. 1776 wyznaczony został do ułożenia projektu nowego prawodawstwa w kraju, dźwigającym się z dotychczasowego zamętu, a wydał go w r. 1778, dalej następują projekty sejmu czteroletniego, grodzieńskiego, wreszcie wnoszone za Księstwa warszawskiego i Królestwa po r. 1832.

W dodatkach znajdujemy zarys dziejów pierwotnych Krakowa, wiadomość o tak zwanych „nawodziskach,“ statut rybacki z r. 1532, cennik towarów z r. 1565, wiadomość o zakładach dobroczynnych u nas aż do końca w. XVIII, o stosunkach żydowskich w Polsce (wzmianka pobieżna) itd.

F. B.

POJĘCIA FILOZOFICZNE I MATEMATYCZNE
o przestrzeni a spirytyzmie.

Człowiek nie jest tylko istotą myślącą, lecz zarazem i uczuciową. Każda z władz tych objawia się w osobnych zakresach twórczości umysłowej: jedna wytworzona wiedzą w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, druga wynurza się w religii, poezyi i innych zbliżonych objawach życia duchowego. O ile jednostronnem i ciasnem byłoby żądanie, aby człowiek stał się tylko istotą rozumującą, tłumiąc w sobie wszelkie pragnienia, płynące z uczuciowości, o tyle pownikiem dziś się stało, że tylko ściśle rozgraniczenie tych dziedzin może być podstawą zdrowego rozwoju myśli. Rozgraniczenie to stanowi cechę oświaty, owego potężnego prądu myśli, który, szerząc stopniowo swe zabory, w ciągu trzech stuleci przekształcił całe życie duchowe społeczeństw ucywilizowanych, stworzył wiedzę i filozofię nowoczesną, stał się podstawą nowych poglądów w dziedzinie prawa i nowoczesnego państwa. Pomieszanie tych dziedzin czyni z wiedzy i wiary jeden zlepek zabobonu, cofa ludzkość na stanowisko nieokrzesanego antropomorfizmu, cechującego sposób myślenia ludów pierwotnych, dąży do przywrócenia tego chaosu wieków barbarzyńskich, z którego się z takim trudem wyłamał duch ludzki.

Pomiędzy pragnieniami, z uczuciowości płynącemi, jest jedno, które potężny wpływ

---

czony, rozpłakałem się. Rozpłakałem się płaczem cichym, serdecznym i było to łkanie wewnętrzne, bez łez!

Kwadrans, a może i dłużej, przesiedziałem na tem samem miejscu. Ludzie szli i wracali, lecz nikt mi nie przeszkadzał. Gdzieniegdzie bawiły się małe dzieci; po drugiej stronie ulicy, na drzewie śpiewało ptaszę.

Wtem przystąpił do mnie policyant.

— Po co pan tutaj siedzi? — pyta.

— Po co tu siedzę? Dla przyjemności!

— Już od pół godziny mam pana na oku! Pan tu siedzi już całe pół godziny!

— Mniej więcej!.. Czego pan sobie jeszcze życzy?

Zirytowany podnoszę się i idę dalej.

Stanąwszy na placu, spoglądam w dół ulicy. Dla przyjemności! Masz tobie odpowiedź! Ze zmęczenia! należało powiedzieć i to głosem bardzo płaczliwym. Durniu jesteś, obłudy nie nauczysz się nigdy! Ze zmęczenia! I przytem należało rzęzić, jak koń!

Koło gmachu straży ogniowej staję... Nowy pomysł! Klaskam palcami, wybucham głośnym śmiechem, który budzi zdziwienie wo wszystkich przechodniach. Mówię sobie: Tak, teraz w samej rzeczy idź do pastora Leviona! Dalibóg, powinieneś to uczynić!.. Choćby dla próby... Cóż na tem tracisz? Taka śliczna pogoda!..

Wstępuję do księgarni Paszy, w kalendarzu szukam adresu pastora Leviona i puszczam się w drogę. Teraz śmiało! — mówię. Bez głupstw! Sumienie? A to co za niedorzeczność! Zbyt jesteś ubogim, ażeby przywiązywać wagę do sumienia!.. Jesteś zgłodniały, przychodzisz z ważną prośbą — to pierwsze! Lecz głowę zwieś na ramię, a słowa ułóż w melodyę!.. Zły duch cię opętał, w nocy zwalczać musisz potęgi ciemności i wielkie, meme potwory, które cię trwogą przejmują wielką; pragniesz wina, mleka, a nie masz nic! Ot, stoisz tutaj i nie masz nawet trochę oliwy do lampki twojej... Lecz wierzysz w łaskę Pana, chwała Bogu wiary jeszcze nie straciłeś! I złożysz ręce i przybierzesz minę świętoszka, jak gdybyś istotnie łaski tej się spodziewał. Co się tyczy mamony, nienawidzisz ją pod każdą postacią: co innego książka do nabożeństwa, upominek za parę koron... Staję przed drzwiami pastora... Czytam: Przyjmuje od 12—4.

— Teraz żarty na bok! — mówię — poważnie! Tak! głowa na dół — jeszcze więcej... Dzwonię do prywatnego mieszkania.

— Chciałbym się widzieć z panem pastorem! — rzekę do służącej. Nie jestem w stanie wsunąć jakoś do tego zdania imienia bożego...

— Wyszedł! — brzmi odpowiedź.

Wyszedł... wyszedł! Cały mój plan zniweczony, wszystko, co zamierzałem mu powiedzieć — odroczone! Po co odbyłem tę daleką drogę? Po co?

— Czy to pilny interes? — pyta dziewczyna.

— Niekoniecznie... wcale nie!.. Skorzystałem tylko z prawdziwie *cudownej* pogody i wybrałem się, aby pana pastora odwiedzić.

Tu ja stoję, a tam stoi ona. Wypręźam się umyślnie, aby zwrócić jej uwagę na szpilkę, spajającą mój surdut, oczami proszę, ażeby odgadła, po co przyszedłem: biedaczka nie pojmuje nic zgoła.

— Przepyszna, cudowna pogoda, tak, tak! Czy i pani pastorowej w domu niema?

— Owszem, ale leży na kanapie, cierpi na podagrę, nie może się ruszyć. Zostawi pan może jakie zlecenie?

— Nic! Od czasu do czasu odbywam sobie takie przechadzki — tylko dla ruchu!.. To zdrowo po jedzeniu!

Zabieram się do odwrotu. Po co dłużej gadać? Uczułem nagły zawrót głowy, o mało co nie zemdlałem!.. Przyjmuje od 12—4! Spóźniłem się o godzinę... czas łaski minął...

(D. c. n.).

wywierało i dziś, chociaż w mniejszym stopniu wywiera. Jest niem dążenie do tajemniczości, popęd mistyczny. Nie będziemy tu roztrząsali, z jakich źródeł płynie ten popęd, co go podsyca i potęguje; dość zaznaczyć, że istnieje i jako istniejący słusznie domaga się ujawnienia, a niekiedy dziwnie mści się na umysłach, które go długo zapoznawały i tłumiły. Naturalnem polem, na którem popęd ten zadośćuczynienie znajduje, jest religia: wszelka religia bowiem spoczywa na tajemnicy, rdzeniem jej jest to, czego zrozumieć nie możemy, a w co wierzymy ślepo. Niemniej i w sztuce, płynącej również z uczuciowości, popęd ów objawić się może. O ile więc niesłusznem jest ograniczanie tych dziedzin do racyonalizmu, o ile pozbawionem sensu jest gadanie o poezyi, „osnutej na nowszych zdobyczach wiedzy“ lub te zdobycze uwzględniającej, o tyle objawem ciemnoty i braku myśli krytycznej wciąganie jakichś potęg tajemniczych do zakresu wiedzy. Jeśli jest coś trwałego, coś pewnego we wszystkich zdobyczach oświaty, to z pewnością takiem jest twierdzenie, że postęp i rozwój myśli naukowej możliwy jest tylko pod warunkiem najskrupulatniejszego oczyszczania tej dziedziny z wszelkich domieszek uczuciowości, które tu występują tylko jako chwasty głuszące prawdę, jakąkolwiek zresztą wartość na innem polu by miały.

Uznanie tej prawdy jest dziś tak powszechne, że zwolennicy zabobonu zmuszeni są, aby nie razić umysłu słuchaczów lub czytelników, nadawać mu kształt niby naukowy; tendencye mistyczne ubierać w pozory badania objektywnego i byle jak przyczepiać je do spekulacyj filozoficznych, nic wspólnego z niemi niemających, ażeby okryć się powagą imion zasłużonych w wiedzy.

Jedną z najwspanialszych myśli, do jakich doprowadziło Kanta badanie w zakresie teoryi poznania, jest ta, że przestrzeń, w której zmysłowość nasza rozmieszcza przedmioty świata zewnętrznego, jest wytworem podmiotowym, formą ujęcia zmysłowego. Myśl ta pozostawia zupełnie otwartem zagadnienie, czy po za tą przestrzenią, którą znamy, a którą za pomocą trzech wymiarów oznaczamy, istnieje jakaś inna o większej lub mniejszej ilości wymiarów, lub też wcale żadnej nie ma. Jedno i drugie jest zarówno niedostępne naszemu wyobrażeniu, które nie może się w żaden sposób wyzwolić z przynależnej mu formy ujęcia zmysłowego, tak jak nie możemy wyskoczyć z siebie. Tylko myśl abstrakcyjna twierdzić może, że ta forma, w której świat poznajemy, zależna jest od organizacyi naszej duchowej, oraz przypuszczać, że istoty inaczej ukształtowane mogłyby go w zgoła odmiennych wyobrażać formach.

Taką jest idea podmiotowości przestrzeni, która dziś już stała się trwałą zdobyczą teoryi poznania. Orzeka ona tylko, że przestrzeń nie jest przedmiotem, nie ma bytu objektywnego. Z odmiennego znów źródła płyną pojęcia o przestrzeni wielowymiarowej matematyków.

Matematyka jest nauką symbolów; przy pomocy ich przyzwyczajono się oddawna przekraczać w myśli abstrakcyjnej granice, zakreślone naszym wyobrażeniom przez formy ujęcia zmysłowego. Posługujemy się tu symbolami, pozbawionemi wszelkiej odpowiedniej im rzeczywistości, a wysnutemi przez uogólnienie znaków, mających znaczenie realne, tj. wyobrażalnych, dostępnych intuicyi zmysłowej. Uogólnienie pojęcia wielkości dało pojęcie wielkości odjemnych; rozszerzenie pojęcia pierwiastku stworzyło całą naukę o ilościach urojonych. Ani ilości odjemne, ani urojone nie mają znaczenia realnego: to znaczy, że nie umiemy wytłomaczyć tych abstrakcyj matematycznych w języku ujęcia zmysłowego, który jest językiem naszych wyobrażeń. Zupełnie w ten sposób powstały pojęcia Riemanna o „różnorodnościach wielokrotnych“ (vielfache Manigfaltigkeiten), jak nazwał oględnie autor w pierwszej swej rozprawie to, co później nazwano wielokrotnymi wymiarami przestrzeni transcendentalnej (przestępnej). Pojęcia te wynikają z uogólnienia wzorów geometryi analitycznej. Ażeby uczynić myśl tę zrozumiałą, muszę zaznaczyć przedewszystkiem różnicę, jaka zachodzi pomiędzy geometryą syntetyczną a analityczną. Pierwsza oparta jest całkowicie na ujęciu zmysłowem, po za granice którego nigdy przekroczyć nie może *). Założenia jej zdobywamy przez zestawienie naoczne figur lub ciał nakreślanych lub wyobrażanych, o własnościach których wnioskujemy przy pomocy intuicyi, tj. aktu wyobrażania. W geometryi analitycznej wyrażamy zdobyte przez syntetyczną twierdzenia za pomocą symbolów algebraicznych. Odrywamy się całkiem od kształtu i połączonej z nim konieczności naocznego wyobrażenia. Operujemy symbolami, jak wielkościami abstrakcyjnemi i tylko wynik ostateczny tłomaczymy na język wyobrażeń zmysłowych, aby mu nadać naoczność. Rozmaite kierunki przestrzeni oznacza geometrya analityczna przez pewne wielkości, które nazywają się współrzędnemi. Oczywiście, że ilość tych wielkości nie może przewyższać trzech, albowiem trzy tylko kierunki rozróżnić możemy w przestrzeni; gdy jednak rozważamy figurę płaską, która ma tylko dwa wymiary, posługujemy się tylko dwoma współrzędnemi; gdy rozważamy tylko długość linii prostej, posiadającej jeden wymiar, mamy tylko jedną współrzędną. Skoro jednak współrzędne te wyrażamy za pomocą symbolów (liter: x, y, z) odrywamy się zupełnie od ich znaczenia realnego i możemy, na podstawie analogii z rzeczywistymi wzorami, wystawić inne, w których ilość współrzędnych (czyli raczej „zmiennych,“ gdyż od tej chwili są one tylko wielkościami algebraicznemi) może być dowolnie zwiększona. Weźmy najprostszy przykład: koło, jak wiadomo, jest linią płaską, której wszystkie punkty są równo odległe od jednego (ośrodka); innemi słowy jest to geometryczne miejsce punktów na płaszczyźnie, równoodległych od jednego. Stosunek między współrzędnemi koła (x i y) wyraża geometrya analityczna wzorem: $x^2+y^2=r^2$, gdzie r jest promieniem. Powierzchnia kuli jest tak samo geometrycznem miejscem punktów, równoodległych od środkowego, ale w przestrzeni o trzech wymiarach. Wzór jej analityczny jest: $x^2+y^2+z^2=R^2$. Zestawiając te dwa wzory, widzimy zupełną między nimi analogię: dodanie jednego wymiaru spowodowało zwiększenie wzoru o jednę współrzędną z pozostawieniem zresztą formy jego bez zmiany. Wnosimy stąd, że gdybyśmy tej samej formy wzór o 4-ch zmiennych napisali, tj.: $x^2+y^2+z^2+u^2=R^2$, byłby on symbolem „kuli o 4-ch wymiarach,“ czyli geometrycznego miejsca punktów, równoodległych od jednego, w przestrzeni o 4-ch wymiarach.

Możemy tak myśleć; ale wyobrazić sobie kuli o 4-ch lub więcej wymiarach nie możemy, albowiem wyobraźnią naszą zakreślone są granice, nieprzechodzące 3-ch wymiarów. Nic to nie szkodzi jednak matematykom; mogą się oni posługiwać pojęciami o dowolnej, chociażby nieskończonej ilości wymiarów, tak jak się posługują ilościami urojonemi. Aby wnioski z tych spekulacyj uczynić zrozumiałymi, tj. naocznymi, potrzebny jest tylko warunek, aby w wyniku ostatecznym nie było więcej nad trzy wymiary, a poprawnemi one będą o tyle, o ile w rozumowaniu nie popełni się błędu.

Geometrya przestępna nietylko wzbogaca matematykę nowemi metodami, ale na równi już z wyżej przytoczonymi wynikami w zakresie teoryi poznania wykazuje, że w myśli oderwanej możemy cokolwiek wystąpić po za granice, zakreślone dla zmysłowości naszej. Możemy jeszcze myśleć to, czego zgoła wyobrażać nie możemy. Zapewne przekroczyć tę granicę zdołamy tylko w bardzo szczupłej mierze; tylko o tyle, aby się o jej istnieniu przekonać. Takie są jedyne wnioski, do których nauka prawdziwa upoważnia, a które przynajmniej rozważna krytyka przyjąć pozwala.

Widzimy, że ani w teoryi poznania Kanta, ani w geometryi nicma nic, coby choć najmniejszy związek miało z majaczeniami spirytystów lub te majaczenia usprawiedliwić mogło. Wszystkie te spekulacye spoczywają na gruncie ściśle racyonalistycznym, jedynym, na jakim spoczywać może wiedza.

Cóż powoduje, że wytwory rozkiełznanej wyobraźni powołują się na te zdobycze myśli, że spirytyści do obozu swego wciągają imiona głośnych filozofów i matematyków? Jedna z przyczyn jest bardzo prosta: mianowicie ta, dla której „profesorowie białej i czarnej magii“ afiszują się jako doktorowie rozmaitych istniejących i nieistniejących uniwersytetów. Nie tłomaczy to nam atoli, dlaczego książki i broszury spirytystów trafiają do przekonania takiej publiczności, której wcale nie imponuje doktorstwo profesorów białej i czarnej magii. Jakkolwiek dziwną wydać się może łatwość, z jaką znaczna względnie część wykształconej publiczności rzuca się na lep mistycyzmu w epoce tak przesadnie realistycznie usposobionej, łatwość ta daje się właśnie z owego krańcowego realizmu wytłomaczyć. Mistycyzm jest reakcyą naturalną względem materyalizmu; jest on wynikiem tego zdziczenia gruntu filozoficznego, które spowodował ten i pokrewne mu prądy. Żadna umiejętność specyalna nie może zastąpić podstaw krytycznego na świat poglądu, jakie daje wykształcenie filozoficzne; owego wyrobienia myśli metodycznej, ustalenia probierzów prawdy, które wynika z szerokiego i wszechstronnego objęcia zjawisk tak przedmiotowej jak podmiotowej natury. (D. n.).

W. K.

KWESTYA SPOŁECZNA W ŚWIETLE ETYKI.

Wśród powodzi książek i broszur o kwestyi społecznej, wydawanych w Niemczech, pojawiła się nareszcie jedna, która oświetla tę dziedzinę z odmiennego punktu widzenia. Zamiast powtarzać oklepane hasła, rozwadniać analizy znakomitych ekonomistów i dąć w jerychońską trąbę, od którejby runęła dzisiejsza budowa społeczna, Teobald Ziegler bada zadania etyczne, ciążące na społeczeństwach dzisiejszych *). Przyznaje on, że kultura dzisiejsza jest zgniła i zepsuta, pusta i bez wartości etycznej i że niezbędnem dla niej odrodzenie. Lecz wiarę, że ze zmianą form społecznych zmieniłby się od razu całokształt życia ludzkiego, uważa autor za mylną, gdyż opiera się ona na zapoznaniu natury człowieczej. Świat zmienić się może tylko wraz z ludźmi. Idea społeczna, dobrze zrozumiana, jest etyczną. Być uspołecznionym, to znaczy poświęcać się dla innych, łączyć interes swój z interesem ogółu, uznawać w bliźnim osobistość równouprawnioną. Ziegler

*) Kilkanaście lat temu wpadła mi w ręce rozprawa jednego z kazańskich profesorów (nie Łobaczewskiego naturalnie), którego nazwiska obecnie nie pamiętam, p. t. „Geometrya syntetyczna o 4-ch wymiarach.“ Sam już tytuł tego dzieła świadczy, że nawet matematycy z fachu nie rozumieją niekiedy podstawowej różnicy pomiędzy geometryą syntetyczną a analityczną. Treść jego jest zupełnie niezrozumiała i nie mogła być inną: autor usiłuje dowieść drogą syntetyczną, a więc metodą intuicyi zmysłowej, cały szereg twierdzeń dotyczących powierzchni i ciał o 4-ch wymiarach, tj. rzeczy niepoddających się żadnej intuicyi.

*) „Die sociale Frage eine sittliche Frage.“ Stuttgart Göscheusche Verlagshandlung. 1891.

staje w opozycyi do socyalizmu rewolucyjnego. Ruch społeczny według niego jest nietylko dozwolony, ale konieczny; ponieważ jednak ściśle powiązany jest z siłami moralnemi, odbywać się musi powoli, gdyż moralność i zwyczaje są potęgami zwolna rosnącemi. Zwolna potęgować się będzie duch, który nas uzdolni do spełnienia naszych obowiązków społecznych.

W ten sposób określa autor swe stanowisko zasadniczo na początku książki. Co potem rozwija w następnych rozdziałach, to nie zawiera nowych myśli filozoficznych lub ekonomicznych, chociaż napisane jest rozumnie, z idealizmem szczerym i z trafnem uwzględnianiem stosunków realnych.

Kwestya społeczna, pojęta jako etyczna, z jednej strony ukazuje nam granice doniosłości wielkich reform, z drugiej zaś potęguje znaczenie działalności i postępowania jednostki. Poucza nas, że i to, co znika w szerokiem życiu zbiorowem, zaważyć musi na szali, gdyż „etyczny proces uspołecznienia“ jest wspólnem dziełem sił wolnych.

Ze stron etycznego procesu uspołecznienia na główną zasługuje uwagę wytworzenie lepszego stosunku między warstwami. Potrzebne jest niezbędnie większe zrozumienie, większa spójność wewnętrzna, silniejsze poczucie solidarności pracy ludzkiej. „Pokój społeczny“ powstać może jedynie za współdziałaniem obu głównych warstw, lecz z natury rzeczy zadanie to spada przeważnie na klasy wykształcone. Lud musi przestać być „masą,“ niebiorącą udziału w dobrodziejstwach kultury. Dziś głęboka przepaść dzieli wykształconych i zamożnych od niewykształconych i ubogich. Wina to pierwszych, którzy nie dopuszczali ludu do źródeł wiedzy. Ziegler gani surowo kastowość, która dziś w Niemczech się rozwielmożnia brutalnie. Przebija się ona nawet w formach zewnętrznych, np. w sposobie witania, którego liczne odcienie świadczą o pysze kastowej, śmiesznej dla prawdziwie wykształconego, a nieznośnej dla ludu. Łączy się z nią pogarda dla pracy fizycznej; przesąd ten, powodujący popisywanie się mylnem zupełnie pojęciem honoru, powiększa ową przepaść.

Odkąd fabrykanci i rządy zaczęły zajmować się losem robotników i tworzyć instytucye polepszające ich położenie, w pewnych kołach sądzą, że robotnicy żalić się nadal nie powinni i dziwią się, dlaczego usposobienie ich nie uległo zmianie. Fakt ten tłomaczy się tem, że pomoc udzielana im bywa w sposób biurokratyczny, na kształt podarunku.

Zdaniem Zieglera nie tyle różnice majątkowe dzielą klasy społeczne, ile umysłowe. Należy więc podnieść całą stopę życia, moralności, wiedzę i zdolność klas niższych. Autor rozbiera wartość ruchu ku żądaniu wykształcenia uniwersyteckiego, rozpoczętego w Anglii, a znanego czytelnikom *Prawdy*. Usiłowania akademików i profesorów, dążące do uzupełnienia wiedzy klas pracujących, doprowadzić mogą według niego jedynie do rozkrzewienia pewnej „pół-oświaty,“ która zazwyczaj groźną bywa dla szczęścia. Lepszą drogą byłaby odpowiednia reforma szkół ludowych i średnich, uprzystępnienie tych ostatnich wszystkim bez wyjątku. Dziś warstwy zamożne posiadają monopol wykształcenia gimnazyalnego. Wszędzie przytem młodzi ludzie zmuszeni są do kilkuletniej bezpłatnej praktyki po ukończeniu studyów. W ten sposób napełnia się inteligencyę pracującą w zawodach wyzwolonych i urzędników owym duchem kastowym, tyle niebezpiecznym dla pokoju społecznego, tworzy się kadry „zepsutych studentów,“ którzy nie ukończywszy uniwersytetu dla braku funduszów, stanowią najbardziej niezadowolony i do przewrotów skory żywioł, utrudnia się dopływ świeżej krwi do ciała inteligencyi. Aczkolwiek niejednemu paradoksalnem wydawać się to będzie, rzec można, że dziś wspinanie się po drabinie społecznej trudniejsze jest, niż na początku wieku naszego: winny temu skomplikowane formy szkolnictwa dzisiejszego, przestrzegane z wielkim rygorem. Sprawa ta mało bywa uwzględniana w obradach nad kwestyą społeczną, a stanowi niezawodnie jedno z głównych jej źródeł. Tendencya do żądania pomocy od państwa w sprawach materyalnych wzmaga się stale i trudno przewidzieć dziś jej kres.

Oryginalne są wywody Zieglera o kwestyi kobiecej. Punktem wyjścia jest dlań różnica istniejąca w odniesieniu do warstw wyższych a niższych. Lud stanowi pod tym względem masę niemal jednolitą; zajęcia mężczyzn i kobiet bywają niemal te same. Tu więc należy różniczkować i zdobyć dla kobiety właściwą jej sferę działania. W wyższych warstwach społecznych przeciwnie, kobieta wykluczona jest z wszystkich niemal dziedzin zarobkowania, które stoją otworem dla mężczyzn. Tu zatem istnieje pragnienie większego współudziału w pracy i w życiu umysłowem mężczyzn. Dziwna przytem jest sprzeczność poglądów utartych w społeczeństwach dzisiejszych. Ci sami fabrykanci i właściciele dóbr, którzy uważaliby za rzecz wielce niewłaściwą, gdyby córki ich pracowały w biurze z mężczyznami lub gdyby słuchały anatomii ze studentami, nie oburzają się bynajmniej na to, że w fabrykach i dobrach ich ręce niewieście obok męzkich pracują na ich korzyść. W kwestyi kobiecej upatruje autor dwie główne strony: psychologiczną i historyczno - społeczną. Nie wątpi o tem, że między mężczyzną a kobietą istnieje różnica psychiczna, przenikająca wszystkie sfery życia, lecz sądzi, że wspólność przewyższa tę różnicę i że ostatnia jest zmienna. Może się ona zmniejszyć w pochodzie kultury. W wyższych warstwach społeczeństw dzisiejszych różnica ta sztucznie została powiększoną. Należy ją zmniejszyć nietylko ze względów społeczno-użytkowych, lecz wprost ze względów sprawiedliwości i słuszności; zrównanie kobiet z mężczyznami pojmuje więc autor jako nakaz etyczny. Sądzi, że udział ich w pracy zawodowej i umysłowej nadałby całemu życiu większą zawartość i powagę.

W dalszym toku zastanawia się nad zadaniem dobroczynności w dzisiejszych stosunkach społecznych, bada różnicę wygód życiowych, nieodłącznych od kultury wyższej, a wystawności i wyrafinowania; wreszcie wyświetla stosunek moralności do szczęścia. Człowiek ma prawo pragnąć szczęścia; lecz nie powinien dążyć do niego za wszelką cenę, co więcej, nie może zostać szczęśliwym, jeśli nie posiada pierwszego warunku: moralności.

Zaznaczyliśmy już, że Ziegler nie wypowiada nowych myśli na polu etyki lub ekonomii społecznej; to też wywody jego w sprawie wzrostu ludności pominąć możemy.

Właściwa myśl jego występuje najjaśniej w rozdziale ostatnim. Formułuje on w nim raz jeszcze zadania dwu głównych grup społeczeństw dzisiejszych, przyczem nie przeocza olbrzymich trudności, stojących na zawadzie pomyślnemu rozwojowi stosunków obecnych. Obawia się on głównie skutków wzmagającego się w klasach wyższych braku charakteru. Ma na myśli stosunki swojego narodu. Głos jego w tej mierze zasługuje tembardziej na uwagę, że podobnych przyjaciół prawdy niewiele dziś znajdziesz w publicystyce niemieckiej. „Nie mamy już odwagi — pisze on — wypowiadania własnych przekonań. Słynna nasza ciętość (Schneidigkeit) tnie zawsze w kierunku najbezpieczniejszym; odkąd słowa tego tak chętnie używamy, staliśmy się może bardziej brutalnymi wobec ludzi zawisłych od nas, lecz bardziej pokornymi wobec tych, co wyżej od nas stoją a duch karjerowiczowstwa i służalstwa toczy szpik narodu naszego.“ Pierwszym warunkiem do rozwiązania kwestyi społecznej jest tedy zdaniem Zieglera poprawa charakteru, wskrzeszenie idealizmu w tych sferach, którym go dziś brak.

Ladawa.

LITERATURA I SZTUKA.

PROMETEISCI.

III.

Tyle co do rodowodu, który jest mniej więcej wspólny dla weltschmerzu i prometeizmu. Ale na tem i podobieństwo kończy się, ażeby ustąpić miejsca samym kontrastem.

Weltschmerz znamionuje stan, w który się wpada po utracie naiwności i... niewinności; jest poetyckim katzenjamerem. Jak człowiek, wytrącony nagle z równowagi, smuci się, wyrzeka, nudzi i marudzi, tak ogół a z nim i literatura po stracie dawnych majaków i różnych bawidełek i złudzeń rozmelancholiowały się. Stały się nagle rybą, wyrzuconą z wody. Stąd ów gnuśny, a zarazem żałosny stan ducha, który zwiemy apatyą, pesymizmem, zblazowaniem, ktoś u nas nazwał dowcipnie pacyentów tego rodzaju „płaczyświatkami.“ Wszyscy oni, osobliwie tacy jak Musset, Leopardi, Lenau, Paludan, Mueller, potroszę Malczeski, w zaraniu swej karyery Słowacki, Lermontow, Puszkin i wielu, wielu innych zapełnili cały świat wzdychaniem i mizantropią. Są to, naturalnie, postacie pełne uroku, wrażliwe, subtelne, ale struną najdonośniej dźwięczącą w nich jest małoduszność, egoizm, choroba woli, egzaltowany erotyzm.

Prometeiści stoją na krańcu przeciwległym. Tamci są lirykami, ci przeważnie tragikami, tamci medytują i gniją, ci żyją walcząc i burzą, tamci lubią gadaninę, ci—czyn. Tamci skarżą się dla tego, że cierpią, ci cierpią za to, że oskarżają, że demaskują świętoszków, powagi, bałwany i nieproszonych zbawców i opiekunów. Tam niedołęstwo i zaduma Hamleta, który powabnym jest jak sama poezya, ale mimo to — niedołęgą, tu zaś ton wyzywający, zuchwalstwo, sarkazm zjadliwy, walka na śmierć i życie, lwia siła i orli polot, a co główna, pewien cel w życiu.

Ponieważ jedni i drudzy ze wspólnego, jak już wiemy, wyszli gniazda, więc tym, których tu nazywamy rodem Prometeja, nazwano pesymistami. Wszyscy oni razem, i każdy zosobna tego przymusowego zaszczytu ze strony krytyki doznawali. I na naszym gruncie nie było więc lepiej. W pięknym swym skądinąd odczycie pani W. Marrené do „Zrospaczonych w literaturze“ zaliczyła wszystkich tych nawet, co z konsekwentnym, buddyjskim pesymizmem zgoła nie przyjaźnią się. To fatalne nieporozumienie! Prometeiści — to moment drugi, ważniejszy, który nastąpił *po weltschmerzu*, jak następuje paroksyzm gniewu i energii, po niewieściem i miękkiem, nieraz kokietującem przeżuwaniu swej niedoli. Byron, Słowacki, Heine prędko się z tego stanu otrząsnęli, bo on za jałowym jest, by mógł trwać długo. Toż samo i Goethe i Mickiewicz, poeta czysto narodowy ale w młodości — kawał byronisty. Zrospaczonym jest, kto zakłada ręce, jak Leopardi wyczekuje zgonu, ale nie ten, kto zuchwale patrząc w twarz mocom nieba i ziemi, i urągając im, zwala sobie na kark jeszcze więcej ciężaru...

Percy Shelley jawnie żyje z ciągłą nadzieją, a takie małżeństwo można tylko optymizmem nazwać; o nim więc nie ma potrzeby dłużej mówić. Co do Byrona, to mimo wszystkie „Child-Haroldy,“ „Nieba i ziemie,“ i tym podobne wybuchy zwątpie-

nia i tęsknoty do niebytu — jest przecież tak cały Tyrteuszem, szermierzem, mścicielem i biczem bożym dla moralnej i politycznej nędzy swego czasu, że tylko *sancta simplicitas* może go desperatem nazwać. Zgrzytów tam i łez pełno, bolu — cała otchłań ale ton podstawowy zarówno w „Manfredzie“ jak i najbardziej, zda się, żółciowym „Kainie,“ brzmi otuchą, wspinaniem się, pobudką wojenną, i tak też Lucyper mówi do Kaina:

Z drzewa poznania jedno macie dobro —
Rozum: — niech wam go żadnych prześladowców
Groźby nie gwałcą, by wierzył na przekór
Czuciu wnętrznemu i oczywistości;
Myślcie i znoście! nowy świat w swej piersi
Zbudujcie, gdy was ten nie zadawala:
Wówczas zbliżycie się do krain ducha,
Święcąc tryumfy nad własną naturą.

Tak samo się rzecz ma z Ludwiką Ackerman: nazywa ona siebie pesymistką, rywalizuje w negacyi z Schopenhauerem i Hartmanem, a jednak przyznaje, że głosi pesymizm nie z wewnętrznego popędu, nie z niechęci do życia, lecz tendencyjnie, aby nim, jak rękawicą, rzucić w twarz nowożytnej średniowieczczyźnie. Gdyby była mężem, pewnieby siłą słowa druzgotała owe „schronienia błędu i ciemnoty, i zastarzałe prawodawstwa,“ o których mówi w swym „Potopie,“ na podobieństwo Heinego, którego również pomawiano o beznadziejną rospacz, mimo że na dźwięk marsylianki wpada w istne delirium optymizmu.

„Co za pieśń! — czytamy w utworze „Włochy“—przenika mię nawskroś płomieniem i radością i zapala we mnie płonące gwiazdy entuzyazmu i rakiety szyderstwa“ (*Włochy*, 322, c. III). Zaś gdzieindziej całkiem poważnie marzy o owym dniu pięknym, kiedy „słońce wolności większem szczęściem rozgrzeje ziemię, niż arystokracya wsystkich gwiazd razem“ i o tem, „jak narody pojednane u wspólnego stołu zasiądą“ i zespolą się na wspólną walkę z niedolami świata, a może w końcu i z samą śmiercią“ (tamże 158).

Kiedy Hamerling napisał swego „Homunculusa,“ krytyka niemiecka, która jak wiadomo cieszy się bardzo z tego, że proch jest już wynaleziony, krzyczała, że to *Ein Weltverneiner*, a jego poemat to wcielony: *Menschenchass*, nienawiść ludzi. Na to odpiera on: „Poeta, który coraz tryumfalniej każe jaśnieć piękności życia i roskoszy — a tak właśnie Hamerling czyni w epilogu swej nieśmiertelnej satyry — nie może żadną miarą karmić się goryczą, zamętem i mizantropią.“ ((*Stationen meiner Lebenspilgerschaft* str. 393). W stu innych miejscach powtarza to samo i nazywa siebie wprost „niepoprawnym optymistą.“ Podobnież i „Ahaswer“ kończy się u niego wróżbą lepszego dla ludzkości jutra.

Zupełnie to samo działo się z Ibsenem po wyjściu dramatu „Rosmerholm.“ A przecież w swych poematach filozoficznych, na Fauście wzorowanych jak „Brand“ i „Peer Gynt“ jak i w późniejszych utworach pała on tylko żądzą czynu i moralno-społecznej reformy! O „Brandzie“ słusznie mówi utalentowany pisarz niemiecki Leo Berg, że stanowi daleko lepsze uzupełnienie do I części „Fausta“ Goethego, niż owa cudaczna, tak zwana część II-a, daleko lepiej bowiem przedstawia człowieka, który wewnętrzny Hamletyzm zamienił na czyn. Wprawdzie czyn ten spełza prawie na niczem, bowiem Brandowi nie udaje się ziścić swego ideału, spotęgować w człowieku *Wolę*, ideał jednak ocalał. Zaś symboliczny na wskroś „Peer Gynt“ ma przedziwne podobieństwo z „Homunkulusem.“ a różni się od niego tem, że poetyzuje nie tragedyę bezsercowości, lecz ogólnoludzką tragedyę moralnej miernoty. Gdy ludzkość bez charakteru, upostaciowana w Peer Gyncie, umiera, to wyznaje ona, że dawno już przedtem umarła. Ibsen jest krytykiem, sceptykiem, byle nie zrospaczonym; stronnikiem reformy i orędownikiem wolności i prawdy etycznej.

W studyum Brandesa o ibsenistach niemieckich, między innemi takie znajduję określenie twórcy kierunku: „Nie jest on żadną miarą zasadowym (*prinzipieller*) pesymistą..., nazwałbym go raczej pesymistą z oburzenia (*Indignations pessimist*). Jego postacie to po największej części spokojne, proste... łaknące prostego, cichego szczęścia natury. I to właśnie, że społeczeństwo przeszkadza im owo niewielkie prawo wykonywać; że swemi prawidłami, ustawami, urzędową etyką i klaką czyni owo szczęście niemożliwem, wywołuje w postaciach Ibsena takie oburzenie i budzi taką namiętną krytykę istniejącego porządku (*Heinrich Ibsen und seine Schule in Deutschland*. Gazeta Franfurcka. Styczeń 1891 rok. N.N. 1, 4, 10, 15) *).

Pomijam innych poetów tego kierunku, bo sądzę, że brak w ich dziełach i życiu tytułu do nazwy zrospaczonych — został dostatecznie wykazany. Nie znaczy to jednak bynajmniej, żeby to były te same puhary wina szampańskiego, tryskające złocistą pianą szczęścia. Nic podobnego. W nich ból i radość, pognębienie i zapał, niemoc i energia wciąż kolejny odbywają dyżur, i składają się na taki stan ducha, który najlepiej nie oznaczać ani czarną ani różową barwą. Dosyć że każdy jest, jak wyrzekł Heine, środkowym punktem świata więc przez ich serca przeszła wielka rysa świata. Jakgdyby w imieniu całej rodziny, Hamerling powiada: „Wierzę w rozkosz bytu obok cierpienia, wierzę nawet w to, com niegdyś nazwał błogością cierpienia“ (op. cit. str. 111); dziękuje bogom, że go do tej roli wybrali; Byron pyszni się nią itd.

Ten ogromny kontrast między czczym weltschmerzem a prometeizm ma inną jeszcze doniosłość artystyczną. Poezya zawsze była jest i będzie nie tylko malarzem życia, ile wyrazicielem pragnień i ideałów. To skłania do mierzenia jej probierzem praktycznym. Ale i ze stanowiska sztuki dla sztuki korowody niobidów mało są warte. Gnuśność i nuda są tematami jałowemi, z nich nic nowego wykrzesać się nie da. One nie widzą nigdy nic nowego pod słońcem, ale i my po królu Salomonie, pierwszym wszech-płaksie, nic nowego w tej szkole nie widzimy. Na tej lutni gra się wciąż jedno i to samo: Katzenjamer, nudę, no a nuda budzi tylko nudę, nic więcej. Hamerling słusznie nazywa weltschmerz „zblazowaną, nieszczęsną w sobie pustką ducha i serca“ (str. 111) i ośmiesza ją w osobnej pieśni swego „Homunkulusa.“ Gdy znamy jednego z tej czeredy, znamy i resztę; ich poezya jest monotonną, o ile nic wchłonęła w siebie innych, rzeźwiejszych czynników, a ich osobistości są do siebie podobne bliźniaczo, dosyć mało skomplikowane i smakosz literacki nic ma w nich tematu wdzięcznego do analizy i charakterystyki.

Natomiast ród Prometeusza mieni się wszystkiemi kształtami walki, pracy, dążenia, wszystkiemi tonami śmiechu, ironii, gniewu. Ponieważ duch złego na ziemi rozmaite nosi maski: niewoli, tyranii, bezwoli, kłamstwa, głupoty, ciemnoty itp. i zmienia swe oblicze, jak historya, więc mają zawsze z kim walczyć i gama motywów jest szeroka, prawie nieograniczona. A choćby nią nawet nie była, to walka ze złem musi i powinna trwać wiecznie, gdy stękanie na złe z opuszczonemi rękami i lenistwem w sercu — do niczego nie prowadzi i przejada się nam rychło. Tam ruch — tu martwota; tam siła i groźba — tu bezwład i wygodnictwo samolubne.

No, a z punktu widzenia społecznego, utylitarnego, który ma przecież takie samo, jeśli nie większe prawo głosu, jak czysty artyzm, różnica staje się stokroć więcej rażącą i głęboką. Literatury narodów trzeźwych, jak skandynawska i ruska kpią raz po raz i to niemiłosiernie z owych mazgajów weltschmerzu i darzą ich całym słownikiem dosadnych epitetów. Gdzie tylko warsztat pracy cywilizacyjnej jest w ruchu, tam niema miejsca dla kwileń i westchnień. Nasi też poeci z doby romantyzmu wtedy tylko śpiewali gorzkie żale, gdy im było jeszcze trochę zielono w głowie.

Zaś naodwrót, czem był Byron dla Europy i Grecyi w szczególności, wiemy dobrze. Wiemy też, czem był Heine dla Niemiec; pod łagodnem zresztą żądłem Hamerlinga niemcy wili się z bólu i wściekłości i nazwali go „pająkiem, tarantulą.“ Ibsena „Widm“ sceny niemieckie bały się, jak policzka, wymierzonego społeczeństwu — to chyba najwymowniejszy dowód jego praktycznej wartości. A o Shelleyu mówi Brandes, może nawet z garścią przesady: „że jego żywot miał większe i trwalsze znaczenie dla sprawy wolności ducha ludzkiego niż wszystko, co się działo we Francyi w sierpniu r. 1792,“ to jest kiedy Shelley ujrzał światło dzienne. To jego własne słowa.

W „Prometeuszu rozkutym“ tego poety, na widok męki tytana Ziemia woła:

O! nieszczęśliwa, ja, nieszczęśliwa!
Zwycięży ciebie ten Zeus, wyklęty,
Zapłaczcie lądy i wód odmęty,
Rozdarta Ziemi pierś wam odpowie,
Zapłaczcie żywych i zmarłych Duchowie,
Wasza tarcz, wasza schrona leży zwyciężona.

Okrzyk ten może i nam posłużyć do formuły tego, czem jest i co może prometeizm zdziałać w życiu realnem.

Jest on poezyą niemniej realną, niż dzisiejsza powieść i nowela. To nic nie znaczy, że jego typy nie są wzięte z ulicy, lecz z szerokiego świata, z fantazyi, baśni lub mitologii, skoro wznosi do góry sztandar bojowy, jest nieustraszonym obrońcą szczęścia ludzkiego na ziemi i wyrazicielem głębin naszego ducha. Zresztą nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby i on wessał psychologię i dramaty swoje traktował realistycznie. Czyż „Kain“ nie zrobiłby dziś wrażenia na scenie? Potężniejsze, niż nie jedna naiwna tragedya Szyllera.

Jeśli przyjąć fakt osobnego i żywotnego istnienia prometeistów, to się okaże, iż można sięgać szczytu poezyi prawdziwej i wysokiego piękna i po za Bourgetowską, genialną, ale epikurejską poezyą Francyi i jej naśladowców. Heinego bawi, że długowłosy uczeń malarza Corneliusza, przechodząc przez salę Rubensa, pogardliwie na jego arcydzieła spogląda; taką samą śmieszność popełnia dziś literatura i krytyka, gdy lekceważy sobie poetów z motywami wszechludzkimi, gdy natrząsa się z filozofii w poezyi i z fantazyi w poezyi. Prometeusz i Faust to dla wielu — romantyzm. Na tej samej zasadzie i realistyczny bajarz *sans pareil*, Zola, jest romantykiem.

Wogóle smak dzisiejszy rozmiłowany w poezyi prosa, śrutu i maku całkiem zapomina, że dobry duch ludzkości nie drzemie długo i raz po raz zrywa się, ażeby granice chwili czasu i piędzi ziemi zerwać i myśl naszą na typy powszechne skierować. Koncerty psychologii i obserwacyi, dawane w tak wielkiej liczbie przez nowszych pisarzów, są nader cenne, ale właśnie dla tego trzeba zapytać, gdzież stoi napisano, że malować lub karykaturować można tylko rodzinę Raugon Mackartów, a nie całą rodzinę ludzką? Czyż taki Hamlet albo Faust nie są zresztą samą śmietanką prawdy i psychologii? Może sobie muza dzisiejsza kpić z *idei* w poezyi i wołać słowami Goncourt'ów *„C... pour le jugement, rien que du gout, absolument du gout!* (Dziennik t. II), to jednak nic tego postępowego i zwycięzkiego pochodu idei ogólnoludzkiej nie wstrzyma — nawet nacyonalizm, bo i ten

*) Już po oddaniu szkicu niniejszego — w lutym czy marcu — doszło nas, dzięki koleżeńskiej uprzejmości p. Lud. Krzywickiego, to nader pożądane dla naszej tezy zdanie najlepszego znawcy Ibsena.

doskonale się z nią w duchowem obliczu poety godzi, i wszyscy ci, o których mowa, kochali swój kraj rodzinny i naród gorąco a Hamerling był nawet szowinistą.

(D. n.).

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LIBERUM VETO.

Co robić podczas lata? — Spędzanie czasu na trawie. — Rozrost zielska. — Pierwsze prace autorów. — Nowele p. Simary. — Na oceanie gorzko-słonej wody. — Znamiona talentu. — Sprawozdanie Kasy imienia Mianowskiego. — Kilka cyfr i objawów. — Zapis hr. Walewskiego. — Jego warunek. — *Słownik geograficzny* i Julianna Grams. — Praca Herkulesowa bez skutku.

Nie wiem, jak właściwie należy przepędzać lato: czytać, czy nie czytać. Jedni bowiem hygieniści twierdzą, że podczas tej pory najpracowitszy umysł powinien wstrząsać się wstrętem na widok zadrukowanego papieru, inni zaś utrzymują, że „lekka książka na trawie nie szkodzi.“ Spróbowałem obu sposobów: pierwszy wydał mi się tak dobrym, że gdybym mógł, rozciągnąłbym go przynajmniej na lat parę i na całą „literaturę bieżącą.“ Gdybym zaś wiedział, że będę wysłuchany, zwróciłbym się do wszystkich potęg, władających losami ludzkimi i błagał: pozwólcie mi być drzewem rosnącem, a nie wyżłobionem, przez które przelatuje zamulona woda; pozwólcie mi być kamieniem, który zamknął się w sobie, a nie gąbką otwartą dla wszelkiej wilgoci; pozwólcie mi być skałą, która leży samotna, a nie skrzynką pocztową, do której kładą listy; pozwólcie mi nie czytać... chociaż dwa lata, rok... Nie przemówiłem do tych potęg, ażeby nie narazić się na to, co spotkało Heinego, który w boleściach skarżył się jednej z nich, a ona — jak on zapewnia — ziewała. Czytałem, czytam i czytać muszę — książki, gazety, rękopisy — uczone, nieuckie, mądre, głupie, porządne, waryackie — wszelakie. Najgorsze z nich nie są te, które mają najmniej rozumu, lecz te, które są podobne do alfabetu, tabliczki mnożenia, słownika, nie będąc niemi. Jeżeli po przeczytaniu jednej stronicy wiesz, co zawierają dalsze, wpadłeś na jedno z takich dzieł; a jeżeli to nie zdarzyło ci się nigdy, człowieku, nie masz prawa nazywać się nieszczęśliwym! Literatura jest olbrzymim, ciągle wzbierającym oceanem, który nas rozbitków unosi na swych falach, a ile razy ziębnięci, spragnieni i zgłodniali otworzymy usta, przelatujący bałwan wleje nam do nich trochę gorzko-słonej wody. Opijamy się jej aż do mdłości, łapiąc czasem i zjadając jakiś zielony liść, owoc lub korzeń. Nieraz wolelibyśmy już utonąć, niż płynąć bez gruntu pod nogami, niż wchłaniać w siebie obrzydliwą wodę. Ach, ta woda, ta woda! Czy przyjdzie kiedykolwiek zbawca, który w jej ocean wleje morze ognia i osuszy go?

Czytam pierwszą pracę literacką każdego autora, o ile mi w ręce wpadnie. Bo zawsze myślę sobie: może to kropla nie z tego oceanu... może to nowe pióro tryśnie świeżym zdrojem uczuć i myśli... Ponieważ zaś „na trawie“ smakują głównie nowelki, więc wziąłem pęczek ich, wydany pod imieniem Simary. Simara? Niewątpliwie jest to pseudonym, ale o nim dotąd nie słyszałem. Więc zapewne debiutant. Trzeba czytać. Pierwsza nowela („On ostrożny“) opowiada o mężu, który zbałamucił kuzynkę i uciekł od niej w chwili, kiedy kryształową jej duszę zmącił swoją żądzą; druga kreśli „portret“ księdza, który z kazalnicy gromami przeciw namiętnościom zagłuszał je w własnem ciele; trzecia uchyla zasłonę z miodowych miesięcy małżeństwa — przeżytego mężczyzny i rozkwitającej kobiety. Wątki tych obrazków są tak pospolite, jak motki lnu i konopi. Francuz, wyrabiający atłasy i aksamity literackie, spojrzałby na nie ze wzgardą, jak na kilimki chłopów nadwiślańskich. Bo czemże tego rodzaju historye są wobec opowieści o żołnierzu Maupassanta, karmiącym na okręcie niemowlę własną piersią, lub o jezuicie, który w wagonie musiał przyjąć na siebie rolę akuszerki? Ale to nic nie szkodzi, bo deseń nie stanowi o wartości wyrobu. Żyjemy w epoce oryginalnych deseni, przywiązujemy do nich wielką wagę i dlatego tworzymy rzeczy, które nie przetrwają obecnego gustu. Dzisiejszym powieściopisarzom i dramaturgom zdaje się, że, jeśli wymyślą niebywałą bajkę, mogą zapytać Balzaca lub Moliera: a wy, inwalidzi, co robicie między nami? I „wynalazcy“ strasznie się mylą, bo Balzaców i Molierów nie fabuły uniosły na skrzydłach ku nieśmiertelności, lecz geninsze. Mniej wart opis starego buta, dokonany ręką olbrzyma, niż obraz podniebnego gmachu, odmalowany pędzlem karła.

P. Simara nie jest olbrzymem, a nawet nim prawdopodobnie nie będzie, a jednakże jego nowele stanowią bukiecik świeżych, wonnych kwiatów, wyróżniających się od zwykłych wiązanek na bazarze literackim. Jeśli są one pierwociną autora, to mu dobrze życzę i dobrze wróżę. Wprawdzie jego postacie występują w mgłach, przesłaniających im rysy; wprawdzie nie zawsze wiadomo, z jakiem znamieniem wysyła on je w świat; wprawdzie czasami przypominają brulion autorski, ale ze wszystkich zalet i usterek wygląda talent. Jakże to wiele! Tegoczesna literatura nasza rozrasta się ilościowo. Powieściopisarze, teatropisarze, literaci wszelkiego gatunku rodzą się z płodnością badyla, które bujnie strzela, ma nawet kwiaty i wydaje owoce, ale przedewszystkiem zachwaszcza grunt i zagłusza jego rośliny szlachetne. Brodząc w tem zielsku, zaledwie gdzieniegdzie dostrzegamy coś godnego uprawy i opieki. P. Simara nie wyrósł pod płotem i nie znajdzie się za płotem — bo jest płonką lepszego pochodzenia. Chciałbym, ażeby był dopiero płonką, a nie drzewem dojrzałem. Zgodzicie się bowiem, że ta sama myśl, która nas zadziwia i do wielkich nadziei upoważnia w głowie dziecka, może być błyskiem bardzo skromnym w głowie starca. „Nowele“ też p. Simary jako pierwszy krok literacki obiecują wiele, jako jeden z ostatnich — przedstawiałyby mało.

Kasa pomocy naukowej im. Mianowskiego ogłosiła dziewiąte Sprawozdanie z czynności komitetu. Ukazuje ono nam z niewielkiemi zmianami ten sam obraz, który rozpatrywaliśmy w latach poprzednich. Wielokrotnie na tem miejscu czynionych wniosków zasadniczych powtarzać nie będę, zaznaczę tylko parę szczegółów godnych bądź przypomnienia, bądź uwagi. Naprzód co do funduszów. Przychód roku ubiegłego (ze składek, ofiar, procentów legatowych, zwrotów pożyczek itd.) wynosił 28,908 rs., wypłacono zaś pożyczek i zapomóg rs. 15,229, umorzono aż rs. 2,261. Największa suma, bo 7,030 rs., przypada na „zapomogi bezzwrotne,“ czyli dla kasy stracone. Chcąc ją krytykować, należałoby znać motywy udzielania wsparć, których sprawozdanie nie zawiera. Możemy więc tylko ogólnie zauważyć, że zasiłek 15,000 rs., rzucony w naszą pracę naukową, powinien by się objawić lepszymi i wyraźniejszymi jej rezultatami, niż te, jakie widzimy. Ale to już nie wina kasy, bo ona ludzi nie stwarza, tylko ich w środki zaopatruje (niezwróconych ma obecnie przeszło 44,000 rs., które zapisuje do „stanu czynnego,“ a które w dużej mierze musi kiedyś zapisać do „Verlustconta“).

Głównym jej dochodem są składki członków rzeczywistych, których zastęp od lat paru stale się zmniejsza (1888 r. — 753, 1890 — 632). Warto przeczytać tę listę i przekonać się, ilu ludzi ze sfery nauki i literatury w niej nie ma, ilu skąpi 5 rs. rocznie na pomoc naukową. W zjawisku tem zaś może najcharakterystyczniejszy jest fakt, że ci, którzy często i w znacznym stopniu korzystają z funduszów Kasy, przeważnie nie są jej członkami, to znaczy — z otrzymanych setek i tysięcy rs. żałują kilku na opłatę składki rocznej. Najdelikatniej mówiąc, jest to gruba nieprzyzwoitość. Bo jeżeli Kasa nie pobiera od pożyczek żadnych procentów i udziela zapomóg bezzwrotnych, to należy jej się chociaż ta drobna ofiara. Nawet służącemu lichwiarza daje dłużnik na piwo, wychodząc z dobrze opłaconemi pieniędzmi jego pana.

Sprawozdanie potwierdza wiadomość, znaną z pism, że zmarły Wł. Walewski zapisał Kasie własność *Słownika Geograficznego* „z zastrzeżeniem, ażeby redakcya była w rękach Chlebowskiego, ażeby dzieło było jak najstaranniej prowadzone i ukończone, a koszt wydawnictwa poniesie Kasa.“ Już dawniej wyraziliśmy nasz pogląd na tę darowiznę, która jest tylko bardzo poważnym ciężarem i której pomysł mógł się zrodzić tylko w głowie człowieka nieprzytomnego. Ale powyższe zastrzeżenie zmniejsza wartość owego daru i poniekąd staje w sprzeczności z ustawą Kasy. Bo skoro redaktorem *Słownika* ma być koniecznie p. B. Chlebowski, czy Kasa może przyjąć na siebie odpowiedzialność za to, że „dzieło będzie jak najstaranniej prowadzone i ukończone?“ Ale przypuśćmy, że jej nie nałożono tego warunku co do osoby, czy ona nawet bez niego może wogóle zobowiązać się do podobnego przedsięwzięcia? Wszakże nie jest komitetem redakcyjnym, ale gospodarczym, rozdzielającym fundusze bez żadnego wpływu na ich zużytkowanie naukowe.

Zarząd Kasy innego jest zdania zarówno co do wartości, jak co do natury legatu. Powiada bowiem w swem Sprawozdaniu: „Ponieważ wniesione zostało do sądu żądanie unieważnienia testamentu, przeto komitet postanowił wstrzymać *staranie* o *zatwierdzenie* zapisu do czasu rozstrzygnięcia sporu.“ A więc w zasadzie przyjął darowiznę i jeżeli nie zostanie unieważniona przez sąd, o zatwierdzenie jej starać się będzie. Nadto uwiadamia, że p. B. Chlebowskiemu przyznano zapomogę rs. 1,500 „na dalsze wydawnictwo *Słownika*.“ Naturalnie — jak rzekliśmy dawniej — w interesie społeczeństwa leży tylko unieważnienie testamentu W. Walewskiego, gdyż ci, którzy usilują obalić ten akt, zapewniliby *Słownikowi* potrzebny nakład, czyli o tę sumę powiększyliby zasób naszych środków na cele naukowe. Jeżeli dźwignie brzemię Kasa, to, zapewne, nie zmarnuje ona pieniędzy, ale stworzy sobie wieloletni i szeroki dla nich upust. Ze stanowiska społecznego smutny to będzie wydatek. Znalazł się człowiek bogaty, który chciał zasłużyć się ogółowi i część swoich środków ofiarował na wydanie ogromnego i pożytecznego dzieła. Człowiek ten umiera bezpotomnie, odlegli spadkobiercy zagarniają jego majątek i wydziedziczają zeń przedewszystkiem to dzieło. Czy to nie okropne?

Dzięki tej chciwości, gdyby nie Kasa Mianowskiego, Słownik przeszedłby prawdopodobnie koleje losu Julianny Grams, owej sparaliżowanej, którą pastor chełmski kazał utrzymywać gminie ewangieckiej. W każdym domu przebywała biedaczka po parę dni, nareszcie wraz z sumą 19 rs. 84½ kop. dostała się niejakiemu Janowi Schurowi we wsi Zarudne. Ten z towarzyszem Augustem Buslerem zawieźli ją do wsi Pławnice i zakopali żywą w świeżym gnoju, podzieliwszy się pieniędzmi. Po kilku dniach, sądząc, że już „doszła,“ chcieli ją wydobyć i wpuścić martwą do przerębli. Tymczasem ona żyła, więc wydobyli ją i podrzucili pod dom Friedrichów. Z męczarni i przeziębienia wkrótce zmarła.

Może Kasa, obawiając się, ażeby *Słownik geograficzny* w gminie spadkobierców hr. Walewskiego nie skończył podobną śmier-

cią, chce go wziąć na swoje utrzymanie. Przeciwko takiemu uczuciu litości nie protestujemy.

* * *

W ostatnich miesiącach odebrałem od czytelników *Prawdy* kilkanaście listów, zawierających rozmaite dziwolągi językowe, zebrane z miejscowych pism, wraz z żądaniem upomnienia się o plamioną czystość mowy naszej. Odpowiadam tu ogólnie szan. moim korespondentom, że wystawy publicznej tych paskudztw stale urządzać nie mogę, gdyż przekonałem się, że jest to trud zmarnowany. Niektóre z pism naszych poprostu lekceważą sprawę języka i wszelkie czynione im uwagi. Dochodzą one do takiej „nonszalancyi,“ że wprowadzają „uzanse“ najdzikszego rodzaju. Kto tylko może pisać gwarą kosmopolityczną, ten ją rozsypuje skwapliwie. Do jakiego zaś stopnia nowe „uzanse“ uparcie zakorzeniają się, dość powiedzieć, że np. prawie zniknął w dziennikarstwie wyraz „tytuniowy“ i zastąpiony został przez „tabaczne.“ O wyrobach, fabrykach tytuniowych nie słyszycie, wszędzie występują „tabaczne,“ bo tak się podobało naprzód *Kuryerom*, a następnie innym dziennikom. „Kropla drąży kamień“ — to prawda, ale ileż kropli musielibyśmy spuścić na skałę naszej prasy, ażeby w niej jakiś ślad wyżłobić. Musiałaby to być rzęsista i nieustająca ulewa. Taka praca przerasta nasze siły. Więc pozostawiamy plugawców języka z ich upodobaniami w spokoju.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Warunki prasy prowincyonalnej. — Czem jest ona wobec warszawskiej? — Rezultat prośby maszynistów kolei Wiedeńskiej. — Kara zarządu kolejowego, jako cenna wskazówka dla pracowników. — Niedbalstwo względem własnego interesu. — Skutki reformy celnej. — Bankructwa i zastój w przemyśle fabrycznym. — Świadectwo upadku rolników. — Głód zbawca.

Ile razy czytam rozpaczliwe nawoływania prasy prowincyonalnej do wniesienia zaległej prenumeraty nieraz w stosunku 50%, doznaję takiego wrażenia, jak gdybym widział krzew usychający podczas upału nad rzeką. Woda w niej toczy się łożyskiem szerokiem, zaopatruje wsie i miasta nadbrzeżne, gasi pragnienie ludzi i bydła, jednych i drugich orzeźwia kąpielą, a nawet w miejscach bagnistych tworzy rozkoszne legowisko dla trzody chlewnej. Tylko jeden krzew patrzy na nią i usycha; nie skarży się, nie protestuje nawet wtedy, gdy przechodnie łamią jego gałęzie dla sztucznej ochłody w cichy dzień upalny. Pomimo że uchodzimy za społeczeństwo biedne, pieniądz, jak gdzieindziej, może tylko nie tak wartko, toczy się u nas szerokiem korytem, przepływa przez zielone stoliki, baterye butelek, miejsca kąpielowe, magazyny mód, sale balowe, a nawet drzemie w listach zastawnych. Tylko prasa prowincyonalna usycha i walczy z gruntem jałowym, bo odłożenie *trzech* lub *czterech* rubli rocznie jest już zbytkiem karygodnym, chociaż suma taka stanowi jakąś małą cząstkę napiwków, zostawianych w miastach i miasteczkach przez inteligencyę prowincyonalną. Znana jest charakterystyczna cecha natury ludzkiej: żal nam dziesiątki danej stróżowi za otworzenie bramy, po powrocie z restauracyi, gdzie z zadowoleniem usługi bawarki rublem się opłaciło. Ta prasa prowincyonalna, traktowana nieraz protekcyonalnie lub pogardliwie przez warszawską, służy jej często za materyał odżywczy podczas posuchy. Dobre informacye, czerpane z pierwszej ręki, korespondencye ciekawe, a nawet artykuły rozumowane, przechodzą obficie na szpalty pism warszawskich, zastępują korespondentów „własnych“ i są przedmiotem nieskończonego przeżuwania przez licznych współpracowników, którzy nie znając warunków istnienia tych skromnych pisemek, odpłacają się im wierzganiem z punktu swej wyższości. W gruncie rzeczy ta wyższość bywa często po stronie prasy prowincyonalnej, gdyż nie zawsze zobowiązania i stosunki prywatne (a zwłaszcza bilety wolnej jazdy) zamykają usta jej współpracownikom i redaktorom. Dzięki temu możemy zaczerpnąć z *Tygodnia* piotrkowskiego, następujący wielce znamienny fakt, którego pisma warszawskie nie powtórzyły: Szesnastu maszynistów sosnowickich jeszcze w listopadzie roku zeszłego udało się z prośbą do dyrekcyi, ażeby po dziesięcioletniej służbie zwiększono im pensyę, gdyż obecna, wynosząca rs. 500 oprócz milowego i godzinowego, jest dla nich niedostateczną ponieważ: po 1-sze w Sosnowcu wzrasta nieustannie drożyzna najpierwszych artykułów spożywczych, po 2-gie 12 — 14-godzinna służba jest bardzo uciążliwą a nawet w fabrykach przez prawo wzbronioną, po 3-cie wychowanie dzieci pociąga za sobą znaczne koszty, gdyż dwie szkółki miejscowe przy kolei nieumiejętnie są prowadzone i nie mają żadnej kontroli, tak iż dziatwę trzeba posyłać do dalszych miast. Odpowiedzi na prośbę w ten sposób umotywowaną maszyniści czekali bardzo długo aż wreszcie musieli ponowić podanie. Jakież było ich zdumienie, gdy Rada zarządzająca uznała dotychczasową pensyę za wystarczającą, a za ominięcie swego naczelnika i dyrekcyi, jako pierwszej władzy, wymierzyła na zuchwalców karę po pięć rubli na każdego. Tym sposobem zarząd dowiódł maszynistom, że nietylko ich pensya jest dostateczną, ale nawet za wielką o 5 rs.

Nietylko lekceważenie spraw personelu służbowego jest znamienną cechą kolei Wiedeńskiej. Dotyka ono także przemysłowców, a pośrednio — masy ludności ubogiej. Na ostatnim zjeździe akcyonaryuszów postanowiono kupić tysiąc nowych węglarek, gdyż dotychczasowy tabor, w znacznej części zużyty, nie wystarcza dla przewiezienia wszystkich zamówionych zapasów węgla z Dąbrowy górniczej. Dotąd wszelako nic o tem nie słychać, jest więc nadzieja, że znowu w okresie ożywionej produkcyi przemysłowcy i przedsiębiorcy będą zagrożeni brakiem paliwa. Najgorzej zaś wyjdą na tem masy ubogich spożywców w miastach i miasteczkach, gdzie skutkiem słabego dowozu rozwinie się spekulacya i zwyżka cen węgla. Nie wiemy, czem wytłomaczyć to niedbalstwo, które przecież nie jest w interesie akcyonaryuszów kolejowych, gdyż lwią część ich dochodów stanowi przewoz węgla kamiennego. W roku przeszłym przewieziono około *stu milionów* pudów, a z pewnością cyfra ta urosłaby o wiele więcej, gdyby tabor węglarek był odpowiednio zwiększony.

Koleje i inne przedsiębiorstwa transportowe chwilowo zyskały na ostatniej zmianie taryfy celnej, która mnóstwo wypłatała niemiłych niespodzianek dostawcom. Z gorączkowym pośpiechem wysyłano towary, które miały być obłożone większem cłem i wstrzymywano ładunki dotknięte opłatą niższą. Przypuszczano powszechnie, że cło od bawełny będzie znacznie podniesione, skutkiem czego wysłano olbrzymie transporty tego towaru z przeznaczeniem dla fabryk w Zawierciu i Łodzi, tymczasem przewidywania zawiodły, opłata od bawełny nie uległa podwyżce. Skorzystali z tego oczywiście fabrykanci, będą bowiem mieli tanie produkty surowe, dzięki znacznemu ich dowozowi. Nie wielka to wszakże dla nich pociecha wobec grożącego przesilenia, które poczyniło już niebywałe dotąd wyłomy w przemyśle okręgu łódzkiego. Pierwszym gromem były cztery znaczne bankructwa w Łodzi przy wysokości pasywów około 200,000 rs. Korespondent łódzki *Gazety radomskiej* donosi, iż w fabrykach robi się coraz przestronniej: z tkalni wełnianej p. Ratkego wydalono 20 robotników, z fabryki Geldnera wskutek zaprzestania robót nocnych — 56-ciu, z fabryki Wulfsona — 70-ciu robotników itd. Zły stan interesów — pisze *Dziennik łódzki* — wogóle odbija się fatalnie na przemyśle drobnym. W ciągu ostatnich kilku tygodni około 66-ciu zakładów ręcznego przemysłu tkackiego, posiadających po 2—4 warsztaty, zawiesiło roboty z powodu braku zamówień. Gorzej z pończosznikami; nie widząc przed sobą pomyślnej przyszłości, zwinęli zupełnie kilkanaście warsztatów. Około 20-tu zakładów wyrabiających szpulki, czółenka tkackie, oraz inne części warsztatów ręcznych zbankrutowało. Mnóstwo rodzin, przeważnie żydowskich, utrzymujących się z nawijania przędzy na szpulki, tudzież przysposabiania wątków i osnowy, pozostaje bez zajęcia, skutkiem czego bieda pomiędzy tą ludnością ogromnie wzrasta. W innych działach przemysłu drobnego panuje równyż zastój. Kilka wykończalni mniejszych, zatrudniających od 6-ciu do 15 robotników, oraz 4 farbiarnie małe (po 8—10 robotników) zawiesiły czynności. Takiemuż losowi uległo kilkadziesiąt szwalni tamtejszych, dostarczających bielizny większym sklepom. „Wiele szwaczek — pisze korespondent łódzki — poszukuje zajęcia nadaremnie, z czego korzystając większe pracownie, zniżają co tydzień zarobki. W wielu mniejszych zakładach ślusarskich i tokarskich zniżono zarobki czeladnikom o 50% i więcej. Dodajcie do tego zamknięcie kilkunastu sklepów łokciowych, bankructwo kilku innych, zwinięcie kilkunastu zakładów stolarskich i ślusarskich, dwóch tokarskich, tyleż bednarskich, zakładu wyrabiającego gonty, w którym pracowało 20-tu robotników i wiele innych, to wszystko w porze roku najpomyślniejszej zwykle dla interesów tych działów przemysłu drobnego, a będziecie mieli mniej więcej dokładny obraz zmory przesilenia, która w obecnej chwili dusić zaczyna utuczony nasz Manchesterek.“ Z innego źródła dowiadujemy się, iż wogóle fabryki tamtejsze zmniejszają liczbę robotników. Zaś wielka tkalnia w pow. łódzkim usunęła około 40-tu. Jak zwykle w podobnych razach, wyjdą tu zwycięzko olbrzymy, wzmocnią swe podstawy szczątkami rozbitków słabszych, a mając obfitość tanich rąk roboczych, utuczą się jeszcze bardziej. Już dziś na tem wielkiem rumowisku bankructwa p. Prieser wznosi nową fabrykę parową szpulek tkackich, a p. Irael Poznański olbrzymią blicharnię i drukarnię.

Zbliżanie się zbiorowego bankructwa szlachty naszej przedstawił na mocy poważnych danych p. J. Bloch w pracy swej p. t. „Ziemia i jej odłużenie,“ umieszczonej w *Bibliotece warszawskiej*. Obecnie *Kaliszanin* notuje fakt, stwierdzający jeszcze wymownej upadek „stanu ziemiańskiego.“ Władze Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie otrzymały prośbę podpisaną przez 72 obywateli ziemskich gub. kaliskiej. Skarżą się oni, iż pomimo całego wysiłku pracy i oszczędności, zbliżają się do chwili zupełnej ruiny i wywłaszczenia, że klęski spadające na rolnictwo od lat kilku, zamknięcie granicy dla wywozu bydła, cło na zboże, brak komunikacyi kolejowej, wychodźtwo ludu itd., doprowadziły do tego, że dochody z gospodarstwa nie pokrywają ciężarów. Spodziewana konwersya listów zastawnych uważaną jest w kołach ziemiańskich za spóźnioną. Podpisani więc proszą o ratunek *natychmiastowy* i *całkowity*, gdyż inaczej połowa majątków ziemskich przejdzie wkrótce na własność Towarzystwa kredytowego. Na zasadzie 18 art. postanowienia b. Rady Administracyjnej w Królestwie Polskiem, opiewającego, że podania zbiorowe przyjmowane być nie mogą, lub powinny być zwracane bez żadnej rezolucyi, odesłano rolnikom prośbę z wyjaśnieniem, że „Ko-

mitet Towarzystwa nie jest mocen odnosić się do władz rządowych w interesach leżących po za zakresem ustawą wskazanym, że pomoc leżąca w granicach tejże ustawy została już z powodu klęsk w latach ostatnich zastosowaną przez udzielenie obszernych ulg." Obecnie Komitet pragnie przyjść z nową przez konwersyę listów zastawnych na niższe procentowe, co jeśli się da wykonać, wpłynie na zniżenie wysokości rat, które ciężą na stowarzyszonych. To gromadne wołanie o ratunek, wyciąganie rąk żebraczych do instytucyi—protektorki, jest bardzo smutnym objawem upadku ducha i energii śród naszych rolników, dowodem zupełnego zaniku wiary w siły i żywotność własną. Taki stan prowadzi już do okresu zniedołężnienia i bierności, po którym musi nastąpić zakłada, jeżeli jaka jałmużna nie przewlecze konania. Naturalnie i między nimi się znajdzie spora garść silnych, którzy przetrwają wszelkie przesilenia i ze swych podstaw szerokich nie runą. Ale ci nie potrzebują i dziś błagać o pomoc, uginać się pod ciężarem rat i długów lichwiarskich.

Uskarżający się na trudność zbytu produktów rolnych za granicę, mają sposobność poprawienia na razie swych interesów. Wiadomo, iż w guberniach wschodnich panuje wielki niedostatek, zabrakło tam zboża na obsianie i wyżywienie. Skutkiem tego władza ministeryalna po zwołaniu przedstawicieli kolejowych ogłosiła przepisy, zniżające opłatę za dowóz zboża (zakupowanego kosztem ziemstw) z portów i punktów pogranicznych do miejscowości zagrożonych głodem. Ponieważ do tych miejscowości zaliczono także Warszawę, Sosnowice, Granicę, Aleksandrów i Mławę, rolnicy więc z Królestwa przy wysokich cenach ziarna i niezłych urodzajach, mogą korzystać z taryfy przewozowej, zniżonej *o połowę*. Zapotrzebowanie będzie wielkie niewątpliwie, gdyż brakiem zboża dotkniętych jest dwanaście obszernych gubernij.

Drogomir.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W ostatnich czasach zaczęto wnosić do ministeryum spraw wewnętrznych i skarbu prośby o wydanie paszportów bezpłatnych włościanom, opuszczającym gubernie nawiedzone przez nieurodzaj. Podania te będą uwzględniane pod warunkiem udzielania paszportów nie na dłużej niż do 13 września r. 1892.

— W jesieni będzie wyznaczona komisya specyalna do ostatecznego opracowania przepisów o wykupie miast w kraju południowo-zachodnim.

— Wkrótce powstaną w Petersburgu: instytut hydrograficzny i komitet ornitologiczny. W pierwszym skupiać się będą wszystkie dane i zajęcia praktyczne dotyczące dróg wodnych, w drugim —badanie szkodliwych i pożytecznych ptaków.

— Dewars zachęcony korzystną umową w interesie bulwarów, stara się o zajęcie placów po przeniesieniu szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie wraz z innymi kapitalistami francuskimi wybudowałby halę zabaw, obejmującą olbrzymią salę koncertową na 5.000 osób, wielki zakład restauracyjno-kawiarniany oraz 60 pomieszczeń na duże sklepy. Według obliczeń przedsiębiorcy komorne z tych ostatnich przyniosłoby 5% od kapitału wydanego na budowę gmachu.

— W dn. 14 września otwarty będzie w Łodzi lombard, jako filia warszawskiego.

— Ministeryum spraw wewnętrznych opracowało specyalne przepisy, kontrolujące działalność domów komisowych, których wiele zajmuje się pośrednictwem przy sprzedaży dóbr, wyszukiwaniem pożyczek, wyrabianiem posad itd. Przepisy te, nie wymagające sankcyi prawodawczej, wejdą wkrótce w życie.

— Komisya, układająca nowy kodeks cywilny, szczególniejszą zwróciła uwagę na ustanowienie schedy majątkowej dla spadkobierców. Dzieci zmarłych otrzymywać będą pewną schedę, niezależnie od życzenia właścicieli majątków i od tego, czy dobra są dziedziczne, czy nabyte i czy testament istnieje lub nie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło niektóre przepisy, dotyczące nieletnich w fabrykach rozciągnąć także na chłopców sklepowych i między innemi polecić utrzymującym zakłady handlowe, aby chłopcom sklepowym, jeżeli ci nie skończyli kursu szkółek elementarnych, pozostawiali czas na uczęszczanie do szkół.

— Zamierzono poczynić reformy w instytucyach sądowych. Między innemi wymagane będzie, aby pisarze przy sędziach śledczych mieli odpowiednie kwalifikacye naukowe i byli zaliczani do etatu służby państwowej.

— Ze względu, iż liczne uczelnie taneczne w Warszawie mają charakter dwuznaczny i przyczyniają się do zgorszenia, pozwolenia na ten proceder będą udzielane bardzo oględnie, a nad stroną moralną nauczycieli rozciągnięty ma być nadzór. Lekcye trwać będą najpóźniej do 10-ej wieczorem.

— W dalszym ciągu środków przeciwko lichwie postanowiono osoby pożyczające pieniądze na weksle, rewersy, zastawy itd., pociągać do opłacania świadectw i biletów 2-ej gildyi, na równi z właścicielami sklepów do zamiany pieniędzy.

— Dr. Mikołaj Rajchman podał projekt urządzenia w Zakopanem pensyonatu dla dzieci słabowitych.

— W Berlinie odbyła się konferencya rzemieślników, która uchwaliła zaprowadzenie na nowo patentów uzdolnienia.

— Z powodu braku robotników polnych, właściciele ziemscy w Prusach Wschodnich upraszają komendy wojskowe o wynajęcie im żołnierzy.

Szkoły. Kurator warszawskiego okręgu naukowego przedstawił do ministeryum projekt wyższej szkoły ogrodniczej przy tutejszym ogrodzie pomologicznym. Kandydaci powinni posiadać świadectwa z ukończenia 4-ch klas gimnazyalnych lub szkół realnych, tudzież zdać egzamin z botaniki. Dla tych, którzy odbyli uprzednio praktykę w ogrodach — kurs dwu a dla innych trzyletni, bez żadnego kursu przygotowawczego. Rok szkolny od 1 października do 13 sierpnia. Pod względem powinności wojskowej—przywileje szkół średnich. Koszt budowy gmachu 40,000 rs.

— Na początku roku szkolnego do instytutów weterynaryjnych delegowani będą zarówno cywilni, jak i rządowi weterynarze dla uzupełnienia studyów praktycznych.

— Na przedstawienie ministra dóbr państwa, od powoływania w czasie pokoju do czynnej służby wojskowej uwolniono inspektorów agronomicznych, którzy ukończyli chersońską szkołę ziemską.

— Ma powstać w Petersburgu specyalny zakład naukowy, którego zadaniem będzie kształcenie niższych techników inżenierskich, na wzór francuskich „szkół koduktorskich."

Zdrowie publiczne. Projekt zaprowadzenia stałych felczerów w pociągach osobowych jest obecnie szczegółowo opracowywany w departamencie kolejowym. Między innemi zwrócono uwagę na to, iż liczba felczerów z każdym rokiem wzrasta nadzwyczajnie, tak iż wielu z nich poświęca się innym zajęciom. Zamierzono z pomiędzy wykwalifikowanych felczerów dobierać pewną liczbę personelu konduktorskiego, po jednym do każdego pociągu osobowego.

— Nastąpiła decyzya na coroczne asygnowanie z funduszów miejskich w Warszawie 1,560 rs. na dezinfekcyę niektórych szkół rządowych zajmowanych przez rzemieślniczo-niedzielne w dnie świąteczne.

Wystawy. W Warszawie odbędzie się wystawa pomologiczna we wrześniu.

— Artyści warszawscy urządzą wystawę wachlarzy w salonie Krywulta, za przykładem malarzy berlińskich.

— W Wiedniu odbędzie się w roku przyszłym jesienią wystawa muzyczna i teatralna w połączeniu ze specyalną wystawą rzemieślniczą.

Konkurs na napisanie sztuki scenicznej z powodu otwarcia nowego teatru w Krakowie przedłużono do 1 lipca 1892 r. Nagroda 500 zlr. Warunkiem jest, aby utwór był osnuty na tle dziejowem i mógł być grany na wszystkich scenach.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu K. D. w K. Artykuł Pański o sonacie zamieszczony być nie może.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 26 Іюля 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.